

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kodź



NR 27 (1126) ROK XXII

8 LIPCA 1979 R.

CENA 3 zł

W NUMERZE:

Smierdząca sprawa

W pobliżu wyrwy w wale dna zbiornika przypomina krajobraz księżycowy, poróżnięte jest głębokimi szczelinami o stromych, prostokątnych ścianach. Wylwajająca się maź wyłobila szerokie koryto. Tu zaduch jest intensywniejszy, a mimo to nie odstrasza czajek, które z kwileniem przysiadają na mętnej powierzchni.

(Konrad Frejdlich)

Bajońskie bony

Mała drukarenka w Bayonne, gdzie wybierał się Aleksander S. na zarobkowe wywczasy, produkowała karty do gry dla kasyn pobliskiego Biarritz, a także właśnie „loteryjki”, „Monopole” itp. A gdyby tak... „bonopol”?

(Zbigniew S. Nowak)

Szczęki w kamerze

Pomiędzy pływakami zainstalowano coś w rodzaju gruszki do cementowozu, tylko mniejszą, zakończoną obsadą kaemiu z wieżyczkami tylnego strzelca superfortecy B-17 z okresu II wojny światowej.

Nazywali go „Szczupak”

„W mieszkaniu naszym — wspomina żona Fudali — odbywały się często zebrania i odprawy polityczne i partyzanckie. Przechowywaliśmy chorych i rannych partyzantów, pomagaliśmy jeńcom radzieckim zbiegłym z niewoli”.

(Henryk Szubert)

PONADTO:

- Załącznik
- Lato w mieście
- Felietony
- Recenzje

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- Dom na jeziorze
- Żywoć niesobliwy
- Cyzelowanie życiorysu
- Fatamorgana
- Polemiki

Debiuty literackie zwykle się traktować bardziej jako zapowiedź niż spełnienie, a przecież nie da się ukryć, iż to właśnie w nich zawiera się odpowiedź na pytanie, jaka będzie przyszłość literatury polskiej... Dla młodego autora pierwszy tomik jest zawsze pewną nobilitacją. Na ogół umacnia go w przekonaniu o słuszności wybranej drogi, sprawiając iż nieraz decyduje się on na życie zawodowego pisarza (i wówczas debiut jest pierwszym stopniem na drodze do ZLP). Debiut przynosi — co niebagatelne — możliwość spojrzenia na siebie i swoje dotychczasowe doświadczenia twórcze z dystansu i w szerszej perspektywie, daje okazję do porównań i konfrontacji

TOMASZ SOLDENHOFF

DEBIUTANCI

z innymi, w tym również — z opiniami krytyków i czytelników.

Wszystko to sprawia, że debiut jest w życiu każdego piszącego bardzo ważnym wydarzeniem, że częstokroć zmieniając jego sytuację życiową warunkuje go prostu dalszą twórczość.

W czerwcu minęło pół roku od posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR poświęconego problemom młodego pokolenia twórców. Fakt, iż wywołana przez nie ogólnopolska dyskusja nie schodzi — mimo upływu czasu — z lamów pism, jest wciąż tematem programów radiowych i telewizyjnych, przedmiotem zainteresowania instytucji państwowego oraz społecznego mecenatu, pozwala wierzyć, że ożywienie nie było krótkotrwałe i okazjonalne.

Nie spodziewam się co prawda natychmiastowego rozwiązania i usunięcia wszystkich nagromadzonych przez lata zaniechań i opóźnień; byłoby to zresztą w tak krótkim czasie niemożliwe. Alłści zainicjowana przez styczniowe posiedzenie dyskusja stworzyła okazję do podjęcia bardziej energicznych niż dotychczas działań i to w trzech najważniejszych dziedzinach: przygotowywania do zawodu artystycznego (kształcenie w uczelniach), pracy ideowo-wychowawczej wśród młodego pokolenia twórców oraz — tworzenia warunków debiutu.

Bezspornie najwięcej emocji budzi między młodymi ostatnia z tych dziedzin. Nie dlatego, iżby warunki materialne przesłaniały im widzenie donioślejszych spraw, choćby związanych z wyborem ideowej i artystycznej drogi. Warunki i czas debiutu w dużym stopniu decydują jednak o świadomości, postawach i samopoczuciu młodego pokolenia (doceniła ten związek uchwała VII Zjazdu Partii, w której znaleźć można ważną dyrektywę, iż „pomoc należy zapewnić zwłaszcza młodym twórcom, z myślą o stworzeniu im najlepszych możliwości ideowego i artystycznego rozwoju”...).

Weźmy choćby przykład młodych pisarzy. Nie ma dla nich bodaj silniejszej przyczyny frustracji od braku możliwości druku. Nie chodzi tu wszakże o „załatwienie problemu” sporadycznymi, okolicznościowymi „kolumnami młodych” w czasopiśmie, ale o zapewnienie stałego dostępu do środków masowego

Dalszy ciąg na str. 8

KŁOPOTY I NADZIEJE



ZBIGNIEW S. NOWAK

bajońskie BONY

Bayonne — niewielkie, spokojne miasteczko w samym zakątku południowo-zachodniej Francji. Tuż obok słynne Biarritz, ekskluzywne, złociste plaże nad modrą Zatoką Biskajską. Istny raj dla turystów. Oczywiście raj tylko dla niektórych.

Bayonne znane jest szeroko w świecie, nie tylko ze swoich walorów turystycznych. Na początku lat trzydziestych naszego wieku, w tym cichym miasteczku wybuchła nagle gigantyczna afery finansowa, która wstrząsnęła całą bez wyjątku Francją.

Emisja fałszywych bonów lokacyjnych zakładu zastawniczego „Crédit Municipal de Bayonne”, na łączną sumę blisko 650 milionów franków, prowadzona w ciągu prawie trzech lat przez polsko-francuską spółkę fałszerską, „króla oszustów” Aleksandra Stawickiego i jego wspólników, burmistrza Bayonne — deputowanego Garrata i dyrektora lombardu — Tissiera, doprowadziła do ruiny finansowej miliony Francuzów. Afera rychło przekształciła się w wielki skandal kryminalno-polityczny, kompromitujący szeregi osobistości zamieszanych w oszukańcze manewry.

Dziś tamta afery bająńska to już odległa historia. Ale historia lubi się powtarzać, choć w innej nieco postaci, innym zasięgu i wymiarze.

Włec znowu afery bająńska! Znowu fałszywe bony! Znowu międzynarodowa spółka oszustów! Następca „króla oszustów”, — także Aleksander S., znad Wisły rodem...

Rozterki bankruta

Aleksander S., były charakterystyczny jednego z warszawskich teatrów, miał poważny kłopot. Problem polegał na tym, że Aleksander od pewnego czasu był byłym charakterystycznym teatralnym. Przed paru dniami bowiem, równo z końcem maja, z hukiem wyleciał z kolejnej posady, za to samo co zwykle, czyli nalagowe pijaństwo w miejscu pracy i podczas pracy. Na rychłe zatrudnienie gdziekolwiek nie miał na razie żadnych widoków, przynajmniej w Warsza-

wie, gdzie jego skłonności znali dobrze dyrektorzy teatrów. Na prowincję zaś, póki co, nie miał zamiaru się wyprowadzić.

Nadmiar wolnego czasu specjalnie go nie martwił. Był samotny. Miał trochę oszczędności, które mogły wystarczyć na jakiś czas. Tyle, że nie bardzo starczało tego na „wino i kobiety”, do czego mocno raczej był przyzwyczajony.

Miał też jeszcze inny problem. Szykował mu się zagraniczny wyjazd do Francji, do Bayonne, na zaproszenie dawnego znajomego, który obiecał pomóc w załatwieniu jakiejś intratnej fuchy na obczyźnie. Ale owa okunksja sporo kosztowałaby. Koszt wyjazdu mógłby wprawdzie być inwestycją na rzecz spodziewanych, przyszłych zysków, ale gdyby przypadkiem francuskie „saksy” nie wypały, wówczas po powrocie do kraju Aleksander zostałby kompletnie goły...

Aleksander S. usilnie więc główkował, ja-

kie by tu znaleźć sensowne wyjście z niewygodnej i niepełnej sytuacji.

„Bonopol”

Pewnego dnia przyszło nagle ośnienie, Aleksander S. przypomniał sobie, że kiedyś w gronie znajomych zabawiali się w nowomodną grę towarzyską „monopol”, rozrywkę dla niedoszłych milionerów. W owej grze posługiwano się m.in. różnymi bonami, akcjami, walutami i innymi kolorowymi kuponkami, do złudzenia przypominającymi autentyczne papiery wartościowe.

Mała drukarenka w Bayonne, gdzie wybierał się Aleksander S. na zarobkowe wywczasy, produkowała karty do gry dla kasyn pobliskiego Biarritz, a także właśnie „loteryjki”, „Monopole” itp. A gdyby tak... „bonopol”?

Dalszy ciąg na str. 2-3

Spośród swego rodzaju wydarzeń kulturalnych odnotować trzeba walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych w Łodzi”, które odbyło się 25 czerwca. Jedną z przyczyn zwołania go przed statutowym terminem była analiza działalności imprezowej DST, jaką przeprowadziliśmy w kwietniu br. w artykule „Pod szyldem”.

Śladem naszych publikacji Zmiana nie tylko szyldu?

Jak wynikało ze złożonego sprawozdania, ustępujący Zarząd DST nie całkiem zrozumiał istotę zarzutów zawartych w artykule. Znalazły się w sprawozdaniu i takie passusy jak ten, że opinia Stowarzyszenia „została nadwerżona przez publikowane pod pozorem troski o jego dobre imię artykuły w prasie”. Nie musimy polemizować z tak oczywistym nonsensem — wyrzuciło nas w tym sprawozdanie Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia, w którym rzeczona komisja nie mogła się zdecydować na postawienie wniosku o udzielenie absolutorium ustępującemu zarządowi... Ostatecznie absolutorium zostało przez walne zebranie udzielone, ale po długiej dyskusji, w której wzięto pod uwagę m. in. i to, iż o nieudolność i niekompetencję nie można obwiniać wszystkich członków zarządu, wśród których opinie co do zasad prowadzenia działalności imprezowej były, delikatnie mówiąc, podzielone. Ze w praktyce zwyciężyła niekompetencja, to już — według naszej opinii — kwestia fatalnego rozdziału ról, zgodnie z którym o zbyt wielu sprawach decydował duet: były dyrektor i były prezes.

Nowy zarząd DST nie będzie miał łatwej pracy. Bo oto np. niby drobna sprawa. Nie udało się, jak do tej pory, wręczyć wymownienia zawieszonemu w czynnościach w kwietniu, przez Prezydenta Miasta Łodzi, dyrektora Zenonowi Rogackiemu. Były dyrektor kluczy, nie przyjmując listów z wymownieniem, a pensję bierze... Jak długo jeszcze? (Formalnie pomóc może. A moralnie?) Są też komplikacje z ostatecznym rozwiązaniem spraw restauracji, która zeszła już do poziomu spełunki, służącej nie wiadomo komu.

Miejmy jednak nadzieję, że przy pomocy władz miasta oraz poszczególnych związków i stowarzyszeń

twórczych Łodzi uda się nowo wybranemu wypracować tę placówkę z impasem. Walne zebranie zobowiązało zarząd do wyeliminowania działalności imprezowej, obliczonej wyłącznie na zysk. Głównym kryterium pracy merytorycznej, prowadzonej przede wszystkim w oparciu o inicjatywę środowisk artystycznych i kulturalnych Łodzi — i służącej tym środowiskom — winna być wartość artystyczno-ideowa propozycji.

Nie da się tu uniknąć głębokich zmian w sposobie finansowania DST i, być może, zmian w statucie. Kto wie, czy nie najlepszym wyjściem — to już przyczynę do dyskusji — byłaby nie tylko zmiana nazwy, ale i przekształcenie w przyszłości dotychczasowego Domu Środowisk Twórczych w swego rodzaju dom kultury, finansowany po prostu przez miasto, a konkretnie przez Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi.

JERZY KATARASIŃSKI

Podajemy skład nowych władz Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych w Łodzi”:

ZARZĄD: prezes — Edward Szuster (ZLP), wiceprezesi — Tomasz Klesewetter (Zw. Kompozytorów Polskich) i Józef Robakowski (Stow. Filmowców Polskich), sekretarz — Jerzy Panasiewicz (SDP), skarbnik — Jerzy Kowalski (SPATIF), członkowie: Sławomir Arabski (SARP), Konrad Freidlich (ZLP), Krzysztof Galant (SPAM), Antoni Mikołajczyk (ZPAF), Władysław Orłowski (ZLP), Juliusz Seweryn (SARP) i Antoni Szram (Stow. Historyków Sztuki).

KOMISJA REWIZYJNA: Witold Jawis (SPATIF), Jerzy Katarasiński (SDP), Karol Obidniak (SPATIF), Andrzej Paruzel (SFP) i Jan Perz (SPATIF).

SAD KOLEŻENSKI: Ryszard Bigosiński, Andrzej Czerny (DST), Jerzy Kwicieleński (SDP), Wiesław Leński (SARP), Henryk Pustkowskiej (ZLP).

Z początkiem lipca, pod warstwą żaru i kurzu, przysypia życie Łódź kulturalnej. W gablotach na murach teatrów — zamiast zapowiedzi nowych premier — pojawiają się lakoniczne tabliczki głoszące „PRZERWĘ URLOPOWĄ”. W filharmonii do futerałów wędrują skrzypce i kontrabasy. Z nieklimatyzowanych sal naszych kin duchota wypłasza resztki widzów. I nawet artyści-amatorzy, członkowie amatorskich teatrów i zespołów muzycznych porzucają swoje rekwizyty, instrumenty i estrady — aby już jako etatowi pracownicy różnych działów naszej społecznej gospodarce — udać się na zagwarantowany im konstytucyjnie odpoczynek.

Gdy zaczyna się urlopowy exodus,

Trójmiastem (i mieli morze oraz — jak Sopot — specjalny budżet na akcję letnią — przyp. jw.)

Przyczyna pierwsza i najważniejsza jest poniekąd „obiektywna”: latem gwałtownie kurczy się w Łodzi liczba potencjalnych odbiorców kultury kontaktujących się z nią w ciągu pozostałej części roku. Natomiast o tych, którzy w Łodzi pozostają, wiemy niewiele, poza tym, że cechuje ich większa wybredność. Chęć korzystania z dóbr kultury łączy się bowiem nierozdzielnie z czynnikiem, który wiosną czy jesienią na aktywność kulturalną ma wpływ praktycznie znikomy. Latem jednakże nie sposób jest — planując cokolwiek — zapomnieć o pogodzie. Jak pokazał jeden czy drugi nie-

Jedyna droga: w plener

Wniosek może być tylko jeden. Jeżeli domy i kluby kultury nie chcą tylko „funkcjonować w sprawozdaniach”, muszą w okresie letnim poszukać sobie partnerów. Gdzie ich szukać? Odpowiedź jest prosta, bowiem miejsce, w których latem szczególnie chętnie gromadzą się ludzie, nie jest znowu aż tak wiele. Są to przede wszystkim parki, większe środowiskowe pasáže oraz ośrodki rekreacyjne.

Ala wychodzenie w plener napotyka na duże opory. Przyczyną jest zarówno brak nawyków i przyzwyczajenia, tudzież niedostateczna inspirowanie czy zachęta ze strony zwierzchników, jak i elementarne nieraz luki w merytorycznym przygotowaniu kadr zatrudnionych w zakładach, a nawet dzielnicowych domach kultury. Działaczom brakuje wyobraźni, rozmachu, śmiałości, chęci wychodzenia poza stereotypy, chociaż — przynajmniej obiektywnie — często nie brakuje im dobrej woli... Dobra wola to jednak jeszcze za mało, zwłaszcza zaś tam, gdzie niezbędne są dodatkowe środki, np. na zdobycie atrakcyjnego sprzętu do gier towarzyskich na wolnym powietrzu. Niestety, wyposażenie łódzkich domów kultury jest nadal zbyt słabe i nieciekawe, aby — szczególnie latem — stanowiło ono magnes przyciągający tłumy. Obawiam się jednak, że nie jest to jedynie wina bazy kulturalno-oświatowej, ile także, a może przede wszystkim, naszego przemysłu sportowego, który w tej dziedzinie nie może zaproponować zbyt wiele...

Smielej od domów kultury czy klubów wychodzą w plener biblioteki oraz dzielnicowe Wydziały Oświaty. Wychowania i Kultury. Przed rokiem środowisko bibliotekarskie podjęło inicjatywę tworzenia dużych punktów bibliotecznych w miejscach rekreacji i wypoczynku. Niektóre z nich przekształciły się w tzw. zielone biblioteki działające od maja do końca września. W tym roku „zielone biblioteki” zorganizowano m.in. w Wiśniowej Górze, Arturówku, Pabianicach i parku 1 Maja, przede wszystkim z myślą o lekturach dla dzieci i młodzieży.

Trzeba jednak przypomnieć, że — zgodnie ze statutem — biblioteki, obok wypożyczeń, mają obowiązek prowadzić akcje oświatowe i propagujące czytelnictwo. Pod tym względem większość bibliotek przejawia wszakże konserwatywizm, ograniczając swoją działalność upowszechniową do spotkań z pisarzami. Plener mógłby chyba zainspirować również inne rodzaje popularyzacji książki (choćby „głośne czytania bajek” w ogródkach jordanowskich i na placach zabaw konkursu rysunkowego, quizy dla dzieci i młodzieży), a przede wszystkim zachęcać do tworzenia punktów wypożyczeń wszędzie tam, gdzie w większych skupiskach spotyka się latem dzieci, młodzież i dorosłych.

Międzynarodowy Rok Dziecka poniekąd ułatwił pracę naszym domom kultury. Także większość propozycji przedstawianych przez Wydziały Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędów Dzielnicowych dotyczy dzieci i młodzieży, chociaż trudno pogodzić się z faktem, iż w urzędowych raportach próbuje się do worka imprez dziecięcych i młodzieżowych upchać programy, festyny i koncerty przeznaczone w zasadzie dla dorosłych (vide niektóre imprezy or-

PROPOZYCJE NA MARTWY SEZON

w życiu kulturalnym milionowej aglomeracji tworzy się WIELKA ŁUKA.

Dzieje się tak od lat i nikt się temu nie dziwi. Czy jednak ŁUKA — acz milcząco przez ogół akceptowana — jest zjawiskiem normalnym, a więc korzystnym i pożądanym?

Obawiam się, że nie, zwłaszcza, jeżeli się przyjmie, iż sens wszelkich mających odnieść pozytywne skutki działań kulturalnych tkwi w ich ciągłości, w kontynuacji, i że nie ma dla nich nic gorszego, niż zerwanie, czy nawet stan chwilowego zawieszenia.

Natura (a i kultura też), nie znosi próżni i co — siłą rzeczy — musi się wciągnąć na miejsce zwolnione przez urlopujące placówki kultury profesjonalnej, czyli „wysokiej”. Co? Nie trzeba być szczególnie wyrafinowanym kibicem kultury, aby stw erdzić, że latem aktywizuje się przede wszystkim jej odwieczna, wytrwała sabotażystka — CHALATURA. Aczkolwiek obecna w życiu kulturalnym przez cały rok, od czerwca do września staje się ona szczególnie widoczna.

Dlaczego „po omacku”?

Działacze kultury, którym proponowałem rozmowę na temat WIELKIEJ ŁUKI, nie ukrywali swego zdziwienia samą tylko propozycją dyskusji o czymś, co nigdy nie doczekało się swojego teoretycznego opracowania, nie mówiąc już o jednolitej, przemysłowej koncepcji, czy programie skupiającym wszystkie rozproszone i nieskoordynowane wysiłki w system specjalnie ukierunkowanych działań. Jak gdyby dotąd brakowało motywacji do zastanawiania się nad aspiracjami i potrzebami kulturalnymi i tysięcy ludzi pozostających na lato w wielkim mieście. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji „jesteśmy skazani na działanie po omacku” — jak to określiła jedna z indagowanych przeze mnie osób. Zamiast dyskusji koncepcji, programu itp., słychać narzekania i wzdychania: „Ba, gdybyśmy byli Krakowem (czyli miastem atrakcyjnym dla turystów — przyp. mój T.S.), albo

udany eksperyment, nawet krótkotrwałe otwarcie podwojów sceny dramatycznej w miesiącach letniego wyludnienia miasta przynieść może tylko finansową klęskę... (nie pomogą tu półśrodki, np. organizowanie widowni z zalog zakładów pracy; którzy to bowiem zakład — sam wyludniony — może latem zapełnić 500-osobową salę?)

Te same bariery, które uniemożliwiają, bądź mocno ograniczają funkcjonowanie teatrów czy filharmonii, pojawiają się w placówkach kulturalno-oświatowych i wychowawczych. Dla domów kultury, klubów i bibliotek lato jest również porą urlopów i remontów. Dość powiedzieć, że w Łodzi — w okresie od czerwca do sierpnia — czynny jest zaledwie 1 dzielnicowy dom kultury (na Bałutach), 2 zakładowe domy kultury (ZPJ „Ortal” i im. Harnama), klub „Eltus” oraz 3 spółdzielcze domy kultury („Lutnia”, „Teofilów” i Lokator”). Natomiast w województwie działają w tym czasie: 2 spółdzielcze domy kultury (w Zgierzu i Pabianicach), 1 — zakładowy („Pamotexu”), 1 — Międzyzakładowy Włókniarzy (w Ozorkowie), 1 — osiedlowy (w Pabianicach) i 1 — miejski (w Parzęczewie). Do tego dochodzą jeszcze: 1 Miejsko-Gminny Ośrodek Propagandy i Kultury (w Strykowie) oraz kilkanaście klubów rolnika i klubów „Ruchu”. Większość z tych placówek pracuje w znacznie zmniejszonej obsadzie.

Z propozycji programowych przedstawianych przez łódzkie placówki kulturalno-wychowawcze w akcji „Lato 79” wynika, że cała aktywność w tym okresie jest ograniczona do tzw. działalności klubowej. Doświadczenie (smutne, niestety) uczy zaś, że owa „działalność klubowa” rzadko kiedy wykracza w tym okresie poza kilka niewyszakanych gier stołkowych ping-ponga i telewizor. Dochodzi przy tym nieraz do wręcz absurdalnych posunięć. Oto np. w pabianickim „Pamotexie” zarządza, że tamtejszy Zakładowy Dom Kultury będzie czynny latem od... siódmej rano do piętnastej! Czy nie lepiej po prostu zamknąć Dom Kultury i pójść na „zieloną trawkę”? Autora tej decyzji rad bym zobaczył o siódmej rano w dusznej salce ZDK nad partyjką warcabów...

"LATA WIELKIEJ ODBUDOWY"

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, Muzeum Historii Miasta Łodzi, Instytut Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego i Łódzka Rada Związków Zawodowych ogłosiły konkurs pn. „Lata wielkiej odbudowy Łodzi”, obejmujący okres od 1945 do 1950 roku.

Organizatorzy konkursu liczą na szeroki odzew obecnych lub byłych mieszkańców Łodzi, którzy pamiętają tamte lata i mogą podzielić się wspomnieniami. Wspomnienia mogą zawierać opis odbudowy różnych dziedzin życia naszego miasta: przemysłu, handlu, rzemiosła, budownictwa, szkolnictwa, sportu, kultury, organizacji społecznych itd. Do opisu mogą być dołączone zdjęcia, ilustracje obrazujące temat. Objętość prac dowolna.

Każda praca winna być zgłoszona w kopercie z imieniem, nazwiskiem i adresem autora. Jeżeli autor pragnie pozostać anonimowy, pracę można podpisać pseudonimem, załączając kopertę zawierającą nazwisko i adres autora.

Prace należy składać do dnia 30 września 1979 roku w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, ul. Ogrodowa 15. Rozstrzygnięcie i podsumowanie konkursu odbędzie się w styczniu 1980 roku, w dniach obchodu 35 rocznicy wyzwolenia Łodzi.

Przewiduje się nagrody za najlepsze prace konkursowe w wysokości: I nagroda — 8.000 zł, dwie II nagrody po 5.000 zł, pięć nagród po 3.000 zł, dziesięć wyróżnień po 1.000 zł.

Komisja oceniająca zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród. Szczegółowe informacje w TPL (tel. 710-97, 773-92).

FUNDUSZ NA ODBUDOWĘ ZABYTKÓW

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi w odpowiedzi na liczne głosy mieszkańców Łodzi o wiera konto na Fundusz rewitalizacji zabytków łódzkich. Konto Nr 47513-6581-132 w PKO I O/M w Łodzi.

Dalszy ciąg ze str. 1

Dolary jako takie podrabiało już wielu tegich cwaniaków, jednakże bez zbytniego powodzenia. Tacy, co to na miejsce delikatnie wyskrobanego nominału „TWO” kaligrafowali w pocie czoła liczbę 100; tacy, którzy podpis pod wizerunkiem „Jefferson” przerysowywali na „Franklin”; tacy nawet, którzy Jeffersonowi domalowywali dłuższe włosy, by go bardziej upodobnić do Franklina.

Oprócz przeróbek były i fałszywe druki. Np. w 1955 r. znanej bydgoskiej rodzinie fałszerzy udało się — w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych — wydrukować ponad 100 tysięcy dolarów. Zdążyli sprzedać ledwie kilkadziesiąt. W 1956 r. czterej utalentowani inżynierowie-poliografowie z Bielska wyprodukowali około 40 tysięcy dolarów tak udanych, że jeszcze po latach wychwytywano je w Holandii, RFN, Francji, a nawet w USA. Sami fałszerze jednak wpadli po czterech miesiącach od momentu rozpoczęcia produkcji.

Już „Przekrój”, w pierwszym sierpniowym numerze 1959, alarmował grubą czcionką: „Co dziesiąty fałszywy!”, a odnosiło się to do krążących po kraju banknotów dolarowych. Tak,

falszerzy dolarów było wielu! Wszyscy jednak wpadali bardzo szybko. Fałszywe dolary to mocno ryzykowny interes! Ale bony dolarowe?

Aleksander S. po gruntownym przemyśleniu sprawy doszedł do wniosku, że „monopolowy” interes z bonami ma dużo większe szanse powodzenia. Francuska drukarnia mogła produkować bony z równą łatwością jak nalepki na butelki z piwem.

Do Francji Aleksander S. wywoził cichaczem cały komplet oryginalnych bonów dolarowych. Czekają go pracowite dni, ale przyszłość jawiła mu się w coraz wspanialszych barwach...

Czas prób i niepokojów

W słonecznym Bayone przyjęto Aleksandra S. niezwykle serdecznie. Kiedy tylko polski gość wyjawiał swojemu francuskiemu koledze, Marcelowi L., z jakim to genialnym pomysłem przybywa, ten natychmiast urobił swojego szefa, właściciela drukarni. Szef musiał należeć do spółki, bo bez niego nie było szans na realizację całego projektu. Monsieur Patrick F. bardzo chętnie przystał do interesu, skaptował nawet wytrawnego specjalistę od papierów wartościowych.

Po miesiącu pierwsze próbki fałszywych bonów zeszyły z pras. Jednak francuski ekspert orzekł, że druki pozostawiają jeszcze wiele do życzenia. Znowu podjęto próby.

Pod koniec sierpnia 1977 r. Aleksander musiał wrócić do kraju. Mijały dni, tygodnie, miesiące. Wspólnicy w krótkich rozmowach te-

BAJOŃSKIE

lefonicznych informował Aleksandra, że intensywnie pracują nad „szlifem” bonów, że wszystko idzie dobrze, później, że są jednak pewne kłopoty, i tak na przemian.

Przez ciągłą niepewność Aleksander omal nie popadł w ciężką nerwicę. Kończyły mu się ostatnie oszczędności. Na dobrą pracę ciągle nie miał widoków, a także i specjalnej ohoty. A żyć jakoś trzeba było przecież! Przymus tak go przycisnął, że mimowolnie wyleczył się z pijactwa, bo już nie miał za co pić. Ledwie

starczało mu na bardzo skromne utrzymanie. A przyszłość ciągle była wielką niewiadomą...

Wreszcie, pod koniec listopada 1977 r., Aleksander S. otrzymał wiadomość, która go zelektryzowała. Bajońskiej drukarni udało się wyprodukować towary doskonałe. Nawet bardzo szczegółowe analizy nie ujawniały różnic

między fałszywymi bonami a oryginałami. Na święta Bożego Narodzenia miał przyjechać do Polski Marcel L., rzekomo na górskie wywczasie, a przy okazji przywieźć pierwszą partię towaru.

Oferent z ogłoszenia

Opinie nie były przesadzone ani na jego, fałszywe bony, które Marcel L. przywoził do

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYŹN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLAZEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

organizowane przez WOWIK przy Urzędzie Dzielnicy Łódź-Widzew w Amfiteatrze Widzewskim, wymienione w materiale LDK na „Proponujemy programowe placówki k.-w. Akcja „Lato 79”.

Imprezy plenerowe, organizowane przez wspomniane wydziały w murach koncertowych parku im. Poniałowskiego, parku Julianowskiego, Zdrowia, na Rynku Staromiejskim w Łodzi („Bałucki Plaknik”) czy w Łagiewnikach, rzadko kiedy jednak wychodzą poza uprawiane od lat standardowe formy koncertów-skiadek estradowych i tzw. bloków artystycznych, niewiele różniących się od tych, jakimi zazwyczaj „uświetnia się” rocznicowe akademie... Organizatorów ograniczają — co może zabrzmi jak usprawiedliwienie — skromne możliwości bazy kulturalnej (nawet taki Amfiteatr Widzewski nie stwarza możliwości wyjścia poza oklepane formy estradowe; nie do pomyslenia jest tutaj występ teatru muzycznego, nie mówiąc już o dramatycznym). Na marginesie przypomnę, że od wielu lat pokutuje w Łodzi idea budowy teatru letniego z prawdziwego zdarzenia, zlokalizowanego w miejscu chętnie przez łodzian odwiedzanym (najlepiej w centrum miasta, albo na Zdrowiu; o ile jednak mi wiadomo, w programie parku Kultury i Wypoczynku zabrakło miejsca na tę placówkę).

Nie wszystkie też pomysły, którym oficjalnie patronują Wydziały Oświaty, Wychowania i Kultury, wydają mi się równie szczęśliwe. Np. wydział polski organizuje w każdą sobotę i niedzielę dyskoteki młodzieżowe w kąpielisku „Fala”. Mam pewne wątpliwości czy jedyny w Łodzi taki duży zespół basenów jest rzeczywiście najlepszym miejscem do urządzania tego typu imprez. Może gdybyśmy mieli w Łodzi kilkanaście „Fal”, nie stałoby na przeszkodzie, aby jedną z nich wyłączyć w tym właśnie celu...

Organizowane w Łodzi w miesiącach letnich imprezy plenerowe przypadają niemal bez wyjątku na wolne soboty i niedziele. W tygodniu parkowe estrady stoją puste. Także — po południu, choć, moim zdaniem, mogłyby one przyciągać nie tylko pozostałą w mieście młodzież, ale przede wszystkim dorosłych, którzy — jak można się domyślić — mają obecnie mniej obowiązków (dzieci poza domem), a w związku z tym więcej czasu. Obawiam się jednak, że bez ujęcia dość chaotycznego nurtu imprez rekreacyjno-rozrywkowych w ramy konsekwentnie realizowanego programu, cała działalność kulturotwórcza w oparciu o łódzkie parki i ośrodki wypoczynkowe ograniczać się będzie do przedsięwzięć podejmowanych okazjonalnie, niejako „od święta”. A szkoda, bowiem w tej wielkiej luce, jaka tworzy się w dziedzinie upowszechniania kultury wraz z odejściem na zastąpioną urlopy teatrów i filharmonii, właśnie szeroko i mądrze pomyślany ruch imprez kulturalnych na wolnym powietrzu mógłby stanowić godziwe wypełnienie.

Uwaga: CHAŁTURA

Potrzeba stworzenia takiego ruchu i programowej koordynacji wszystkich rozproszonych dotychczas czynności jest tym pilniejsza, że nurt imprez plenerowych, zdał już, niestety, wyłobaczyć takie korzyści, w którym najlepiej czują się ordonownicy rozmaitych form rozrywki ulatwionej, schlebającej niewyszukanym gustom, często po prostu tandetnej

i graniczącej z ordynarną chałturą. W dniach sobotniego i niedzielnego wypoczynku organizuje się w Łodzi i województwie sporo imprez; co zrobić jednak, skoro ilość najwyraźniej nie przechodzi w jakość. Zenujący bywa zwłaszcza poziom imprez przygotowywanych, jakby nie było przez zawodowców. Imprezom tym towarzyszy nieraz balagan organizacyjny, np. koncerty opóźniają się bez ważniejszego powodu, bądź odbywają się w innym niż zapowiedziany kształcie.

Jak poinformował mnie dyrektor Wojciech Ekiert, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi już parokrotnie czynił starania o podwyższenie poziomu wszakże decentralizacja letnich poczynań rekreacyjno-kulturalnych. Organizatorów tych imprez jest na terenie samej Łodzi wielu: „Estrada”, Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Zakład Imprez Plenerowych, Związek Zawodowy, zakłady pracy, Łódzki Dom Kultury, dyrekcje parków itd., itp. Tam, gdzie wybiera się program na chybił-trafił i gdzie panuje niekompetencja, imprezy zatrącają o taniocze. Bo jeśli samymi organizatorami nie są, to na dobrym poziomie... Inna rzecz, na liście starych współpracowników „Estrady” czy SME niełatwo znaleźć nazwiska czołowych łódzkich aktorów i to nie tylko w czasie kanikuły. Postulat szerszego i bardziej przemyślanego czerpania z możliwości łódzkiego środowiska artystycznego (nie tylko zresztą aktorskiego) jest jednym z tych, które od paru lat już pojawiają się w stosunku do „Estrady”. I chyba słusznie.

W obecnej sytuacji natomiast duże, acz nie wykorzystane jeszcze możliwości, stwarza amatorski ruch artystyczny. Prezentacja jego dobitko stała się już tradycją przy okazji masowych imprez handlowych („Jarmark Łódzki”), festynów (święto „Głosu Robotniczego”) i dużych imprez kulturalnych („Fajka”). I choć sama koncepcja łączenia kultury z Merkurym może wydawać się dyskusyjna, nie sposób podobny mariaż odmówić znaczenia w kształtowaniu działań upowszechniowych naszej kultury.

Co prawda większość np. zespołów muzycznych zawięza latem swoje instrumenty na kółku. Przykład niektórych przedsięwzięć Łódzkiego Domu Kultury pokazuje jednak, iż można zachęcić artystów-amatorów do aktywnego uczestniczenia w kulturze również w sezonie, który zwykło się określać jako „martwy”. Z informacji udzielonych mi przez dyrektora LDK, Jana Jakubczyńskiego, wynika np., że wespół z dyrekcją parku na Zdrowiu LDK zamierza powołać w przyszłym roku stały cykl imprez opartych właśnie o ruch amatorski. Natomiast latem 1979 roku Ogólnopolski Klub Iluzjonistów-Amatorów, działający pod patronatem LDK, został gospodarzem istniejącego w chorzowskim parku Kultury i Wypoczynku Teatru Iluzji. Można w tym fakcie widzieć nie tylko dowód uznania dla pracy artystów-amatorów z Łódzkiego Domu Kultury, ale również wskazanie drogi do stworzenia podobnej placówki w Łodzi, może właśnie w ramach parku na Zdrowiu...? Te i inne, choć wciąż jeszcze niezbyt liczne inicjatywy, mogą być przykładem prób zainicjowania owej luki, jaka razem z nastaniem lata narusza ciągłość i harmonię barw w kulturalnym pejzażu miasta.

KAZIMIERZ ZDROJEWSKI

Słoneczny, upalny dzień lata to dla łodzianina problem — gdzie się wybrać na świeże powietrze? Problemu takiego nie mają ludzie mieszkający na przedmieściach. Wystarczy im koc i pobliska zielona trawka. Do własnego, domowego bufetu blisko, napojów i jedzenia nie zabraknie. Nie trzeba też tłoczyć się w autobusie czy tramwaju? A inni?

Łodzianie przywykli, że w upalny niedzielny dzień jedzie się z kocem na Zdrowie, nad Stawy Jana, na Rudę lub dalej do Bedonia, Gaikówka czy nawet Zakowic. Do kosza wkłada się butelki z herbatą i nie tylko z herbatą, jajka na twardo i hajda na majówkę. Zmotoryzowani mogą jechać dalej, zaopatrzeni w składany ekwipunek turystyczny, dmuchane materace, kuchenkę na gazie, czyli w to wszystko z czym jeżdżą na dalekie urlopowe wyprawy. A pozostali?

Ludzie zawodowo zajmujący się rekreacją, a jest ich w Łodzi stanowczo za mało, utrzymują, że idealnym byłoby, gdyby rekreacja zaczynała się już na osiedlu. Niestety, projektanci nie myśleli na ogół o boiskach dla młodych amatorów piłki nożnej i innych gier zespołowych, a co dopiero mówić o boisku do siatkówki dla mamusi i tatusiów, którzy chcieliby zdrowo spocić się letnim popołudniem, aby stracić trochę tłuszczu nabytego przy siedzeniu za biurkiem lub przed telewizorem. Do idealu więc daleko, ale mamy przecież Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji, który powołany został do tego, aby organizować nam wypoczynek w najprzeróżniejszych formach. Zobaczymy więc, co oni tam wymyślili!

Łodzianie przede wszystkim spragnieni są wody, gdyż mamy jej mało, a najlepiej wypoczywa się latem nad wodą. Można więc wypoczywać nad Stawami Jana, Stawami Stefanki, na Młynku, w Arturówku, w Nowej Gdyni, na Bugaju w Pabianicach, można nad basenami: im. Promieniowych, „Olimpii”, „Włókniarza”, „Anilany” czy na „Fali”. Nie wszędzie jednak można się kąpać. Nie można się kąpać w Stawach Jana, bo stawy te zalano ropą, nie można kąpać się na Młynku. Młynek na

szczęście będzie przebudowany, powstanie tam kawiarnia i basen kąpielowy.

Jest tego niestety sporo, ale czy to wystarczy na potrzeby przeszło milionowej aglomeracji? Bez wątpienia nie wystarczy. I nie pomoże fakt, że baseny, ośrodki WOSIR i inne otwarte są od godziny 10 do 19 i właściwie każdy, kto ma tylko na to ochotę, może sobie poodpoczywać nad wodą czy w cieniu drzew. W Arturówku można nawet pojeździć konno lub powozem. Można też wybrać się na przejażdżkę łodzią czy kajakiem. Łódź dysponuje 400 kajakami. Dużo to czy mało? W dni powszednie wystarcza. Gorzej jest w dni wolne od pracy. Ale zwiększyć

warunków wypoczynku w ośrodku WOSIR na Bugaju w Pabianicach. Więcej osób jedzie do Główna, bo do Główna jedzie się jakby na wieś. Na Bugaj, trzeba jechać z miasta do miasta, a kto popelnia takie niedorzeczności? Organizatorzy rekreacji natomiast marzą o tym i powoli do tego zmierzają, aby tworzyć ludzimi warunkami do wypoczynku blisko miejsca zamieszkania, aby można było wypoczywać po pracy, nie czekając w dusznym mieszkaniu na wolny dzień. Na razie mało jest takich miejsc i ludzie do tego jeszcze nie przywykli.

Wszyscy się bardzo cieszyli, kiedy budowano Zalew Sulejowski, bo miał to być zbiornik nie tylko wody

GDZIE I JAK WYPOCZYWAĆ?

Ilości kajaków nie można z prostego powodu, że ogranicza ich liczba powierzchni wody. Kto więc chce mieć pewność, że popływa kajakiem czy łodzią, niech wybierze się nad wodę w dzień powszedni, najlepiej letnim popołudniem po pracy. W ośrodkach wypoczynkowych WOSIR można wypożyczyć poza tym piłki, sprzęt do gry w kometkę, pletwy do pływania i leżaki do opalania się.

W podłódzkich ośrodkach wypoczynkowych, w Arturówku, Grotnicach, Wiśniowej Górze można wynająć sobie na lato domek campingowy. Wprawdzie WOSIR najchętniej wynajmuje takie domki na czas dłuższy niż 7 dni, ale przyjeźdźni mają ulgi i mogą zatrzymać się na krócej. Miejsce jednak nie ma wcale dużo i już do połowy sierpnia są wykupione. Można w tych ośrodkach wypoczywać również wiosną lub jesienią. Ale łodzianom te pory roku jakoś nie kojarzą się z wypoczynkiem.

Aby odpocząć, tradycja nakazuje wyjechać z miasta. Z tego też powodu mało łodzian korzysta z dobrych

przeznaczonych dla Łodzi, ale i tereny rekreacyjne. Do Sulejowa jest niedaleko. Można tam dojechać autobusem, jak się nie ma samochodu. Tylko, że nie bardzo jest po co jechać. Turystyczne wyposażenie wybrzeży Zalewu Sulejowskiego idzie opornie. Jest ośrodek wypoczynkowy w Smardzewicach, zaczyna się budować taki ośrodek w Borkach. I to — jak na razie — wszystko.

Słoneczny, upalny dzień lata to dla łodzianina problem — gdzie się wybrać na świeże powietrze? Właściwie to jest gdzie się wybrać, ale przecież nie każdemu chce się tłoczyć w tramwaju czy autobusie, wypoczywać w tłoku, bezkrotnie szukać wody sodowej czy pepsy-coli, wolać więc posiedzieć na laweczce przed blokiem, albo pojechać do lasu, gdzie byłoby cicho i przyjemnie. Nie są to jednak wybrzydzenia wyzniki z nadmiaru możliwości. Raczej z niedosytu.

BOGDA MADEI



Foto: R. Lucyszyn

Polski w oparciu o foteli samochodu, były poligraficznym majstersztykiem. Francuski kurier poddał je ostrym testowi w drodze do Warszawy. W kiosku dewizowym we wrocławskim hotelu „Monopol” kupił za bony trochę alkoholu i papierosy. Sprzedawcy przyjął papierki bez zmużenia oka. Trochę bonów Marcel L. wydał na drobniaki w łódzkich sklepach „Pewexu”. Także bez żadnego obciążenia.

BONY

Aleksander S. przystąpił do działania. W prasowych rubrykach ogłoszeniowych wyszukał paru amatorów, oczywiście poza Warszawą. Samochodem Marcela L. wspólnicy ruszyli w kurs, a właściwie kilka kursów. Aleksander S., zmienił nie do poznania, co przy jego umiejętnościach charakterystycznym, stało się dlań żadnym problemem, wystąpił w roli oferenta, czy też oferentów z ogłoszenia za każdym razem w innym przebraniu, innej postaci. Pierwsza runda poszła wyjątkowo gładko. W siedmiu miejscach, od Białegostoku do Rzeszowa, Polsko-francuska spółka oszustów sprzedała równe 10 tysięcy dolarów w bonach!

Uzyskane w ten sposób zlotówki natychmiast zostały wymienione na „czarnym rynku” na

autentyczne waluty wymienialne, zwłaszcza marki RFN, które Marcel L. miał wywieźć za granicę i ulokować gdzieś w banku. Warszawscy waluciarze i inni dziwili się trochę, skąd ów nagły popyt na „krzyżaki”, a nie dolary, ale wspólnicy uradzili, że będą lokować zyski przede wszystkim w walucie, która stoi na Zachodzie najmocniej.

Do końca pobytu Marcela L. w Polsce, tzn. do połowy stycznia 1978, wspólnicy sprzedali ponad 25 tysięcy dolarów w bonach. Równowartość tej sumy w markach RFN Marcel L. wywiózł do Francji. Aleksander zajął się po jego wyjeździe sprzedażą pozostałych 25 tysięcy. Do maja sprzedał wszystko.

W czerwcu Marcel L. ponownie przyjechał do Polski. Tym razem przywiózł 100 tysięcy dolarów w bonach. Z powrotem zabrał potężny ładunek marek RFN, a także franków francuskich, szylingów austriackich, florenów holenderskich i autentycznych już dolarów.

W sierpniu 1978 r. przybył do Polski kolejny kurier francuski, tym razem sam właściciel bajonńskiej drukarni, monsieur Patrick F. Biznes rozkręcił się na supergigant. Do pomocy w sprzedaży bonów skaptowano kilku „koników”. Do Polski przybywały kolejne pakiety dolarowych bonów. W drugą stronę wybywały wszystkie chyba kursujące nad Wisłą waluty obce, a także dzieła sztuki, antyki, numizmaty, walory filatelistyczne.

Obroty i zyski rosły w oszalałym tempie. Zagraniczne konta Aleksandra S. i jego wspólników — także. Wspólnicy myśleli per-

spektywicznie. Za uzyskane nielegalnie pieniądze zamierzali otworzyć jakiś większy dochodowy interes. Marzyli o paru hotelach i pensjonatach nad słoneczną Zatoką Biskajską, niedaleko Bayonne, w Biarritz, a może i na Łazurowym Wybrzeżu. To był pewny, bardzo intratny biznes. Na jego realizację potrzeba było sporych funduszy, ale kapitał zakładowy polsko-francuskiej spółki rósł błyskawicznie...

W kręgu podejrzeń

Pierwszy „obudził się” Wrocław. Tam najwcześniej ujawniono fałszywe bony, podrobione z niesłychanym mistrzostwem i finezją. Potem zaczęły napływać alarmujące meldunki z Opola, Krakowa, Tarnowa, Wałbrzycha, Rzeszowa, Bielska, Poznania, Łodzi. Wybuchła afera-gigant!

Eksperci badający fałszywe bony stwierdzili jednoznacznie, iż poziom i technika druku wskazuje na to, że papierki są drukowane gdzieś za granicą, w którymś z krajów zachodnich. Przesłuchiwani nabywcy bonów podawali tak różne okoliczności zakupu i rysopisy handlarzy, że wyglądało na to, iż w kraju działa potężny gang. A więc gang i to międzynarodowy!

Szeroko zakrojone śledztwo ruszyło pełną parą. Konieczny był pośpiech, bowiem każda wprowadzona do obrotu ilość fałszywych bonów narażała Skarb Państwa na ogromną stratę.

Intensywne działania operacyjne organów ścigania wywołały krach na „czarnym rynku”. Waluciarzy dosłownie wymiotło spod sklepów

„Pewexu” i dewizowych agend PKO. Na handlarzy padł błdy strach na wieść o krążącej na rynku olbrzymiej ilości fałszywych bonów. Niejeden „konik” z przerażeniem w oczach tasował gdzieś w kątku kolorowe papierki, drząc czy aby nie fałszywe. Niejeden amator szybkiego zakupu mieszkania czy samochodu za dewizy stracił ciężką forszę.

Zemsta

Można było się spodziewać, że waluciarze nie puszczą płazem tej nieprawdopodobnej, gigantycznej „przewalanki” z bonami, ani też nie wytrzymają zbyt długo totalnej nagonki na siebie. Jeśli ktokolwiek z nich wiedział coś na temat afery, albo chociaż tylko czegóż się domyślał, sprawa szybko musiała „peknać”. Tak też się stało...

Pewnego dnia anonimowy informator telefonicznie przekazał organom ścigania kilka danych o warszawskim „niebieskim ptaku” Aleksandrze S., który od dłuższego czasu skupował od waluciarzy bardzo duże ilości różnych walut w niewiadomym celu, być może lokując w dewizach wielkie, nielegalne dochody. Ow telefon okazał się punktem zwrotnym w rozpracowaniu afery z bonami...

W ostatnich dniach kwietnia 1979 r. fałszerze zostali ujęci. Supergang wyjątkowo perfidnych oszustów dewizowych przestał istnieć. Przestał istnieć na długo, bardzo długo. Wiadomo, wymiar kary jest proporcjonalny do rozmiarów przestępstwa. A to była afera-gigant...

ZBIGNIEW S. NOWAK

OCHRONA ŚRODOWISKA

Aby zrozumieć, co się właściwie wydarzyło w Łomży, trzeba sięgnąć do akt prowadzonego właśnie śledztwa. Zaczniemy jednak po kolei.

Kiedy blisko piętnaście lat temu na obrzeżach powiatowej wówczas Łomży wybudowano wielką krochmalnię, wszystkim się zdawało, że oznacza to nie tylko przemysłowy awans rolniczego regionu. Dotąd bowiem industrializacja wkraczała tutaj nieśmiało i były to raczej wytwórnie niż fabryki. Nawet dziś, po wybudowaniu ZPB „Narew”, zatrudniających dwa tysiące pracowników, Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego „Łomża” przy biegnącej wśród lasu ulicy Poznańskiej, wiele znaczący przemysłowy pejzaż województwa łomżyńskiego. Tym bardziej, że rozrosły się w kombinat, który nosi dzisiaj nazwę: Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego. W jego skład, obok dawnych zakładów ziemniaczanych, wchodzi wytwórnia pasz oraz browar, którego piwo ma nalepki z hożą dziewczyną i dziarskim młodzieńcem w strojach kurpiowskich z Puszczy Zielonej.

Tego rodzaju przemysł potrzebuje do produkcji ogromnych ilości wody i chyba tym się przede wszystkim kierowano lokując go nad Narwią, która była wówczas rzeką o I klasie czystości. Ale procesowi produkcji towarzyszy powstawanie wielkiej ilości ścieków. Mgr inż. Tadeusz Deptuła, starszy inspektor w Wydziale Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Łomży oblicza, że kombinat „produkował” 28 tysięcy metrów sześciennych ścieków na dobę, z czego połowa wsiąkała w ziemię, ale to co zostawało, stanowiło poważny problem. Gromadzono te ścieki w czterech zbiornikach tzw. wód zawracanych, a ponieważ okazały się niewystarczające, Prokuratura Wojewódzka w Łomży wspólnie z komórką ochrony środowiska rozpoczęły wojnę z kombinatem, dochodziły bowiem sygnały, że nadmiar ścieków jest nocą bezprawnie spuszcany do Narwi.

W roku 1977 na łąkach obok kombinatu, w odległości 1500 m od fabrycznego plotu zbudowano więc potężny zbiornik redukcyjno-awaryjny o długości 400 m i szerokości 240 m, który mógł jednorazowo pomieścić ścieki o objętości 370 tysięcy metrów sześciennych. Ściany tego zbiornika, zaprojektowanego przez Biuro Projektów Przemysłu Cukrowniczego w Łodzi, stanowiły potężne wały ziemne o wysokości ok. 4 m. Napełniony ściekami tworzył szambo o powierzchni blisko 8 ha. A ponieważ ścieki te łatwo ulegają procesowi gnicia, okoliczni mieszkańcy skarżyli się na fetor. W gorące dni, kiedy proces gnilny był przyspieszony, strach było otworzyć okno.

Mimo tej uciążliwości zbiornika okoliczni chłopcy chwaliłi sobie, aż do 10 czerwca r.b., bliskość krochmalni, bowiem jej ściekami nawadniane były łąki o powierzchni ok. 600 ha. Specjalny rurociąg odprowadzał je na obiekt melioracyjny noszący nazwę Mątwa — Kupiski. Wprawdzie dawki tego nawozu były zbyt duże i z powodzeniem wystarczyłyby do nawodnienia dwukrotnie większego obszaru, ale Związek Spółek Wodnych, który był faktycznym właścicielem oczyszczalni, specjalnie się tym nie przejmował. Z jego punktu widzenia nie była to przecież oczyszczalnia ścieków, poddawanych rolniczo wykorzystaniu — tylko obiekt melioracyjny. Właściwą oczyszczalnią dysponował Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych w Łomży, który każdorazowo decydował o opróżnianiu zbiornika krochmalni. W tym systemie podejmowania decyzji i ponoszenia odpowiedzialności tkwił załóżek przyszłej tragedii.

Ale przez blisko dwa lata nic nie zdawało się zapowiadać klęski, która najdotkliwiej dotknęła mieszkańców podłomżańskiej wioski Kraska. Podlewane krochmalą łąki dawały czterokrotne pokosy, okoliczni chłopcy „podkradali” więc nawet niekiedy ścieki, aby poprawić swoje plony. Wprawdzie teren zbiornika ogrodzony był siatką, a wejścia na obwałowania strzeżone ostrzegawcze tablice, ale tak naprawdę szamba nikt nie pilnował. Kierownik działu nadzoru eksploatacji z krochmalni posyłał co jakiś czas człowieka, żeby odczytał poziom ścieków w zbiorniku. Na wałach stoi specjalna budka z eternitu, przez której okienko widać żerdź pomiarową zatkniętą w dno basenu. Ten sposób kontroli zbiornika wystarczał, dopóki przestrzegano zaleceń projektanta i wykonawcy. Rzecz bowiem w tym, że zbiornika nie można było użytkować pełną parą, dopóki nie ulegną stwardnieniu wały ziemne stanowiące jego ściany. Trzeba było nieco czasu na wyrośnięcie i wzmocnienie traw na stokach zewnętrznych wałów. Szczegółowa instrukcja regulowała zarówno sposób napełniania jak i konserwowania zbiornika. Mówiła ona, że maksymalny poziom ścieków może wynosić 4 m. Z tym, że gromadzenie miało następować warstwami, przy jednoczesnym obserwowaniu ścian grobli. Podstawowym warunkiem bezpieczeństwa było niedopuszczenie do sytuacji alarmowej. Projektant przewidział, że w tej fazie eksploatacji zbiornika poziom ścieków nie powinien przekroczyć 2 m i wprowadził to zalecenie do instrukcji obsługi.

Zastępca prokuratora wojewódzkiego mgr Józef Franciszkowicz mówi wstępnie: — Już nie mam siły udzielać informacji dziennikarzom. W ostatnich dniach przeżywa-

my istny nalot prasy i telewizji. Jest pan chyba ostatnim przedstawicielem gazety, z którym mam jeszcze ochotę rozmawiać.

Pijemy herbatę z porcelanki w niebieskie wzorki i przed mym wzrokiem rysuje się powoli obraz dramatu, który nastąpił w czerwcową niedzielę.

Pierwszy sygnał o grożącym niebezpieczeństwie pochodził od mistrza zmiany produkcji pomocniczej Komarowskiego, który zanotował w dzienniku raportów: „Poziom ścieków wynosił ponad 4 m. Nie widać żerdzi do odczytania poziomu ścieków, które należy skierować na obiekt Mątwa — Kupiski”.

pracownica zajmująca się w kombinacie sprawami ochrony środowiska uzgodniła termin spuszczenia ścieków na łąki z Wojewódzkim Zarządem Inwestycji Rolnych. Pod nieobecność dyrektora pracownicy tej udaje się wreszcie w sobotę uzyskać zgodę na opróżnienie zbiornika i tego dnia ścieki zaczynają spływać na łąki. Przekrój rur nie pozwalał na ich szybkie wypłynięcie, ale mimo że stan krytyczny poziomu ścieków w zbiorniku został dawno przekroczony, zakład w dalszym ciągu odprowadzał do niego szlam, gdyż nie zdecydowano się na zatrzymanie procesu oczyszczania linii technologicznej. Zabrakło człowieka z inicjatywą, który zadzwoniłby do zjednoczenia, do Poznania, aby uzyskać na to zgodę. W tej sytuacji stało się to, co się stać musiało. Kiedy

z rogów, ale już nie zdążył. Porwała go fala nadpływającego szlamu i pontosa do sąsiedniej wsi. Znalaziono go martwego dopiero następnego dnia, ledwie widocznego w mazi. Osierocił troje maleńkich dzieci. Nie ocalała także krowa, którą chciał uratować. Wiesz straciła także 6 innych krów.

— Ścieki produkcyjne krochmalni w stanie surowym nie są chemicznie agresywne, nie stanowią więc bezpośredniego zagrożenia dla życia ludzi i zwierząt — wyjaśnia prokurator Franciszkowicz. — Stanowią w zasadzie nieszkodliwą mieszaninę związków azotu, białka oraz skrobi. Mimo to mieliśmy tu do czynienia z bardzo poważną katastrofą ekologiczną. Nastąpiło stokrotnie zanieczyszczenie Narwi. Tę w zasadzie czystą do tej pory rzeką spłynęły aż po Ostrołękę lawice martwych ryb, które uległy uduszeniu skrobią.

Postępowanie pracowników kombinatów, odpowiedzialnych za to karygodne zaniedbanie (spowodowane jawnym lekceważeniem obowiązków), zostało zakwalifikowane z art. 130 paragrafu 1 kk., który mówi o spowodowaniu niebezpieczeństwa katastrofy dla ludzi i mienia w znacznych rozmiarach. Śledztwo zostanie zakończone w sierpniu ze względu na konieczność pewnych ustaleń, których mogą dokonać tylko biegli wąskich specjalności.

Niezależnie od odpowiedzialności karnej powstaje kwestia odpowiedzialności cywilnej. Fala brudnej wody wyrządziła szkody w mieniu 160 osób. Już dziś można powiedzieć, że straty wynoszą kilka milionów złotych. Nie licząc tych milionów, które jak co roku zakład zapłacił za zatrucie Łomżyczki i Narwi. Tadeusz Deptuła podaje, że na zasadzie art. 130 prawa wodnego, kombinat obciążony został z tego tytułu kwotą 2.700.000 zł, ale do tego zdążyło się już przyzwyczaić. Większe wrażenie robią kary indywidualne. Na parę tygodni przed katastrofą dyrektor Gregorowicz zapłacił 500 zł grzywny za dopuszczenie do zatrucia ściekami Łomżyczki. Ale widocznie była to za mała suma, skoro dopuszczono niedługo później do przekroczenia stanu alarmowego w zbiorniku o 77 tys. metrów sześciennych ścieków.

Według do zniszczonego zbiornika. Mijając kombinat, który na pierwszy rzut oka robi wrażenie zabanego, spostrzegam na jednej z hał napis, który po katastrofie brzmi tu jak wyzwanie: „Doskonale planowania i zarządzania ważnym czynnikiem dynamicznego rozwoju kraju”. Córka sprzątaczkii ubrana w maminę fartuch zamiata korytarz biurowca. Znużony portier w bramie wskazuje mi drogę przez skąpy las. Przywykli już do wizyt dziennikarzy jak tu wszyscy w ostatnim czasie.

Droga wysypana szlaką urywa się i wtedy spostrzegam wał ogrodzony siatką. Obok niej za tablicą z ironicznym napisem: „Zabrania się wypasu bydła na wylewisku! Ścieki trujące” — pasie się pięć chudych krów, czerwonych i jedna czarna, stanowiąca mieszkankę rasy polskiej i holenderskiej.

Przez przymkniętą furtkę obok ledwie widać na zawiasach bramy wdrapując się na wał ziemi i spoglądam na zbiornik. Dno pokrywa skorupa czarnego, popękanego na słońcu szlamu, który zdążył już wyschnąć. Mimo to czuć słodkawo-odły fetorek, który zalega czaszę zbiornika. Przekrzywiony wskaźnik poziomu ścieków cały obrósł brudnym nalotem.

W pobliżu wyrwy w wale dno zbiornika przypomina krajobraz księżycowy, porżnięte jest głębokimi szczelinami o stromych, prostopadłych ścianach. Wylewająca się maź wylóbiła szerokie koryto, w którym stoją jeszcze zatoki brudnej wody. Tu zaduch jest intensywniejszy, a mimo to nie odstrasza czajek, które z kwileniem przysiadają na mętnej powierzchni. Prąd wypłukał glebę i drogę, którą popłynęła śmierdząca fala, znaczą ją teraz szerokie lachy żółtego piachu. Żeby na powrót przywrócić tu życie trzeba będzie nawieźć ziemi.

Ale kiedy tak stałem na koronie wału, nie mogłem się uwolnić od refleksji, że przykład łomżyńskiego kombinatu ziemniaczanego, krzyżujący ze względu na konsekwencje, w gruncie rzeczy zamula problem. Prawdą jest, że mieliśmy do czynienia w tym konkretnym wypadku nie tylko z rażącym zaniedbaniem najbardziej elementarnych obowiązków i wyzwaniem rzuconym zdrowemu rozsądkowi. Chciałoby się wierzyć, że kary, jakie wymierzy sąd winnym, będą ostrzeżeniem dla wszystkich dyrektorów i kierowników pozbawionych wyobraźni. Ale łomżyńska sprawa wykracza daleko poza granice nowego województwa. Rodzi się bowiem pytanie, czy koszty industrializacji nie są zbyt wysokie z punktu widzenia ochrony środowiska, a pośrednio naszego zdrowia, a nawet życia. Zbyt często dowiadujemy się bowiem o karach jakie placą zakłady przemysłowe na podstawie art. 130 prawa wodnego. Te pieniądze przekładane z jednej państwowej kieszeni do drugiej państwowej kieszeni, na nikim nie robią już wrażenia. Truciele nie są bowiem rozliczani indywidualnie i skrywają się za szyldem instytucji, a te zawsze osłonić się mogą tarczą wyższych społecznych racji. Dopiero gdy dochodzi do rażącej tragedii, winni ponoszą konsekwencje. Ale inni truciele wierzą, że w ich zakładzie do tragedii nie dojdzie i czynią dalej bezkarnie spustoszenia na raty, stopniowo. A to jak dotąd uchodzi bezkarnie. I to jest najbardziej śmierdzący aspekt całej sprawy.

KONRAD FREIDLICH

ŚMIERDZĄCA SPRAWA

Było to w środę, 8 czerwca. Ścieki podniosły się do poziomu alarmowego i o 2 m przekroczyły poziom przewidziany instrukcją projektanta. Dlaczego tak się stało, wyjaśni proces karny. Dziś wiadomo jednak, że w kwietniu br. nadmiar ścieków wylano ze zbiornika awaryjnego na łąki, a w ciągu czterech dni maja, od siódmego do jedenastego, napełniono go powtórnie. Pewnie do bezpiecznej wysokości, skoro w dalszym ciągu pompowano do niego ścieki, których nie można było odprowadzić na łąki Związku Spółek Wodnych. Suszyła się właśnie ścięta trawa i tylko z niektórych kwartałów zwieziono już siano do stogów.

Gospodarką ściekową w kombinacie ziemniaczanym zajmuje się komórka głównego energetyka. Po raporcie Komarowskiego, informacja o grożącym niebezpieczeństwie dociera do dyrektora Krzysztofa Gregorowicza, odpowiedzialnego za sprawę techniczne zakładu Gregorowicz, który aktualnie przebywa w areszcie, polecił głównemu energetykowi, aby

zgrupowane w basenie ścieki przekroczyły o 108 cm poziom krytyczny i aż o 308 cm poziom zalecany przez instrukcję eksploatacji, brudna maź zaczęła się przelewać przez koronę wałów. Pierwsi spostrzegli to wiejscy chłopcy, którzy grali na łące w piłkę. Dziś słupki wyznaczające bramki oblepione są do pewnej wysokości brudnym, wyschniętym szlamem, chociaż na szczycie fala czołowa przelewających się ścieków nie runęła na boisko, wybierając sobie inną drogę.

W jednej chwili wyciekająca maź zrobiła wyrwę w narożniku zbiornika, rozpruwając wał ziemny na długości 30 m. Potężna fala runęła na łąki, niszcząc wszystko na swej drodze: wymywając trawę, porywając namioty foliowe, niszcząc zasiewy. Ludzie, którzy parę miesięcy wcześniej przeżyli w tych stronach wylew Narwi, na widok zbliżającej się wody zaczęli wynosić co cenniejsze przedmioty na strychy. Mieszkaniec Kraski, trzydziestoletni Krystyn Felter, nazywany panem Krzysiem, rzucił się do ratowania swej krowy. Chciał jej zdjąć łańcuch



Foto: Archiwum

Zdarzyło się to — jak zdolano później ustalić — w punkcie, który wyznacza 60°55' szerokości północnej i 101°57' długości wschodniej, około 700 km na północ od Irkucka, około 100 km na północ od faktorii Wanowara, głęboko w syberyjskiej tajdze w rejonie rzeki Podkamienna Tunguzka. Zdarzyło się o godzinie 8 minut 17 czasu lokalnego, a o godzinie 0 minut 11 czasu Greenwich. Grzmot wybuchu słyszano w promieniu 750 km, widziano wysoką falę na Obi i Angarze. Wiele sejsmografów w Azji i Europie zanotowało wstrząs skorupy ziemskiej. Inne urządzenia zarejestrowały falę powietrza, która dwukrotnie obiegła kulę ziemską.

Stało się to w głębi syberyjskiej tajgi, więc najpierw zanotowały ten fakt legendy. Dla Ewenków zamieszkujących w faktorii Wanowara było to zstąpienie z nieba boga Agda, który stał się podobny do ognistego ptaka i powalił oraz spalił wiele kilometrów drzew w tajdze. Dla innych były to dziwy, jakie rzadko dzieją się na tym świecie i o jakich opowiadają się wieczorami przy cicho trzaskającym ogniu.

Pierwsza wojna światowa na długo odsunęła możliwość zajmowania się rozwiązaniem zagadki: co zdarzyło się 30 czerwca 1908 roku w syberyjskiej tajdze? Po Rewolucji też czas nie sprzyjał organizowaniu wypraw naukowych. Były ważniejsze zadania, trzeba było odbudować kraj zniszczony wojną domową. I choć Leonid Kulig już na początku lat dwudziestych interesował się syberyjską zagadką, to

dopiero w 1927 roku

mógł wybrać się w rejon wydarzenia z 1908 roku. Wcześniej sam zbierał informacje na ten temat wędrując po Syberii, a także prosił o to znajomych geologów. W 1924 Obruczew dotarł do faktorii Wanowara i znalazł potwierdzenie, że ów wielki wybuch z 1908 roku nastąpił o około 100 km na północ. Myślni opowiadali, że leży tam na przestrzeni wielu kilometrów powalona tajga.

Leonid Kulig ruszył w rejon Podkamiennej Tunguzki w 1927 roku. Dotarł szczęśliwie do miejsca, w którym niewątpliwie zdarzył się z ziemią wielki meteor, gdyż w rejonie tym drzewa były powalane koncentrycznie. Do tego miejsca, idąc z południa, członkowie wyprawy Leonida Kuliga spotkali drzewa powalone czubkami na południe.

Nie było już wątpliwości — zapisał L. Kulig w swoim notatniku — obszedłem wokół miejsca upadku! Odnista bryła rozpalonych gązów i materii uderzył meteor w dolinę z jej wzniesienia, tundrą i moczarami. Jak struga wody, błądząc w płaską powierzchnię, rozsięła promieniście bryzy na wszystkie strony, tak strumień rozpalonych gązów połozyl las na obszarze dziesiątków mil, wywołując ten straszliwy obrat zniszczenia.

Na początku wszyscy byli pewni, że w syberyjską tajgę uderzył meteor. Zastanawiali jedynie to, że nie znaleziono wielkiego krateru, jaki powinien był powstać w miejscu zderzenia. W różnych częściach naszego globu są

takie krater, pozostałość po meteorach, które w przeszłości zderzyły się z naszą planetą. Pocięzono się, że widniejące wokół małe krater kryją resztki meteoru, który musiał się po prostu rozzerwać na kawałki. Następne wyprawy nie wykryły jednak ani w małych kraterach, które okazały się być naturalnymi zagłębieniami, jakie powstają zwykle w torfie, ani też w miejscu, gdzie powinien być duży krater — żadnych śladów meteoru. Również igły kompasów i inne aparaty nie wykryły

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CO ZDARZYŁO SIĘ 30 CZERWCA 1908 ROKU?

anomali magnetycznej, a więc w ziemi nie było żadnego kosmicznego żelaza, które tu powinno było spaść. Co zatem zdarzyło się 30 czerwca 1908 roku w rejonie rzeki Podkamienna Tunguzka?

Po II wojnie światowej

powrócono do tematu

wysuwając kilka śmiałych hipotez. O meteorze tunguskim — jak go zaczęto nazywać — napisano wiele artykułów, rozpraw, książek, opowiadań i także temat ten wykorzystywano w powieściach. Stanisław Lem swoich *Astronautów* zaczyna właśnie od opisu wydarzeń, jakie miały miejsce 30 czerwca 1908 roku w syberyjskiej tajdze.

Próbowano wyjaśnić tunguską zagadkę pionunem, który uderzył w dużą ilość gazu błotnego, albo jako wybuch chmury komarów i muszek. Kiedy teoria o istnieniu czarnych dziur znalazła potwierdzenie, wysunięto i taką hipotezę, że właśnie w miejscu, gdzie Leonid Kulig znalazł centrum wybuchu, czarna dziura przeleciała ziemię na wylot. Rozgrzane gazy powaliły drzewa. Autorami tej hipotezy byli dwaj uczeni z uniwersytetu w Teksasie — A. A. Jackson i Michael Ryan. Próbowano też wyjaśnić tunguską zagadkę, tłumacząc, że to była bryła antymaterii, która zetknęła się z ziemią. Georij Pietrow i Władimir Stulow próbowali wreszcie dowieść, że na Syberię w czerwcu 1908 roku spadł tuman pulchnego śniegu o średnicy 600 metrów, a poruszając się z ogromną szybkością przez atmosferę, zamienił się w parę i rozplynął. Na las syberyjski uderzyła fala powietrza powalając drzewa.

Najwięcej zwolenników zyskała jednak hipoteza, która głosi, że

to była kometa.

Myślano już o tym przed drugą wojną światową. Sam Leonid Kulig łączył zagadkę tunguską z kometa Pons-Winnecke. Podobnie astronom, I. Astapowicz, uważał, że anomalie zmierni, jakie zanotowano około 30 czerwca 1908 roku wiążą się z małą kometa, która

lił las. Wzniósł się na około 8 km i wyparował.

W miarę rozwoju atomistyki, kiedy już wprawdzie nie zrucano na ludzi bomb atomowych, ale przeprowadzano różnorodne próby, dostrzeżono pewne podobieństwa w wybuchach atomowych bomb i w tym, co stało się w 1908 roku na Syberii. Czyżby więc rzeczywiście wtedy rozzerwał się tam statek kosmiczny? U podłoża takiej fantastycznej hipotezy leży kilka faktów, na które do tej pory nie dano wyczerpującej odpowiedzi.

Dlaczego, na przykład, część drzew w rejonie Podkamiennej Tunguzki stoi tylko opalonych, część leży powalona i osmalona od strony zewnętrznej, część nie jest osmalona, a część nie jest powalona? Jak to wytłumaczyć? Próbowano tłumaczyć to tym, że na nierównym terenie część drzew została w naturalny sposób osłonięta przed podmuchem.

Zwolennicy fantastycznej hipotezy o katastrofie statku kosmicznego twierdzą, że kiedy jego załoga zorientowała się, że minęli dogodny teren Mongolii i zobaczyli leśne tereny poprzerywane rzekami i jeziorami, postanowili odwrócić statek w kierunku nieba i odlecieć, szukając innego dogodnego miejsca. Manewr się nie udał, a wadliwie pracujące silniki podmuchem pokładły i spaliły las w nierówny sposób.

Dlaczego bowiem nikt nie widział żadnej komety? Bo nadlatywała ona od strony Słońca — powiadają zwolennicy hipotezy o wybuchu jądra komety. Ale — mówią ich przeciwnicy — jakiś astronom we Francji widział szybko mknące ciało niebieskie, o którym myślał, że to meteor. Jeden z astronomów czeskich dostrzegł w tym samym czasie wielki meteor, który gwałtownie zmienił kierunek nad obszarem Polski.

Radziecki uczyony, Feliks Zigel, utrzymuje, że owo ciało niebieskie, początkowo poruszało się dokładnie z południa na północ, a bezpośrednio przed wybuchem leciało ze wschodu na zachód. Jego zdaniem, ów nieznaną obiektem kosmicznym dwukrotnie zmienił trajektorię lotu, opisując w atmosferze ogromną pętlę.

Feliks Zigel twierdzi, że już od 32 lat trzyma się hipotezy, że 30 czerwca 1908 roku nad Syberią eksplodowała sonda kosmiczna nieznaną cywilizacji i im głębiej bada tunguską zagadkę, tym bardziej jest o tym przekonany. Nie martwi go nawet fakt, że w rejonie wybuchu z 30 czerwca 1908 roku nie znaleziono śladów promieniowania atomowego. Kategorie odrzuca hipotezę o zetknięciu się z Ziemią jądra małej komety, uważając, że musiałyby ono rozpaść się już w najdalszych warstwach atmosfery ziemskiej.

Opierając się na naszej wiedzy i mając świadomość stopnia rozwoju techniki zakładamy, że taki pojazd musiał mieć napęd jądrowy. Czy rzeczywiście tak było, jeśli istotnie był to pojazd kosmiczny? Czy jego twórcy nie mogli znać innego rodzaju napędu? Na to pytanie dziś jeszcze odpowiedzieć nie potrafimy. Ale miejmy nadzieję, że w miarę rozwoju nauki znajdzie się odpowiedź i na takie pytania, jak i na wiele innych.

Ponad 100 milionów dolarów zysku przyniosła eksploatacja filmu „Szczeki”, wyreżyserowanego w 1975 przez Stevena Spielberga. Trzy lata później producent, Richard D. Zanuck, postanowił ścigać z rynku nowe pieniądze, wykorzystując legendę pierwszego filmu i rozbudzone zainteresowanie filmami o monstrualnych potworach („King Kong”, „Orca” itd). Powrócono do tej samej scenarii i tych samych postaci.

„Szczeki 2” odznaczają się wysokim poziomem realizacji. Według zgodnej opinii specjalistów mechaniczny potwór nabrał jeszcze większej spraw-

ności, pod różnymi szerokościami geograficznymi i wiem, że warunki oświetlenia zmieniają się przeciętnie co 20 minut, zależnie od stanu nieba i od siły wiatru. Morze zawsze odbija kolor nieba. Tak więc trzeba w sposób niesłychanie precyzyjny notować wszystkie parametry kolorystyczne w momencie zacinania kolejnej sekwencji. Krećliśmy najwięcej ujęć u wybrzeży Florydy i mieliśmy szczęście, bowiem niebo na ogół było bezchmurne. Można było do każdej sceny wykonać wzorcowe ujęcie, skopiować je na papierze fotograficznym i potem robić przebitki w momencie, gdy

problemy z nagrywaniem diałogów. Przez długi czas nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć. Trzeba było w końcu wybudować specjalną pływającą platformę z własnym napędem, która mogła dotrzymać kroku szybko płynącemu żagłownikowi. Nie było łatwe zainstalowanie na niej kamery tak, aby utrzymać stabilizację poziomu. Nawet przy bardzo spokojnym morzu zainstalowana sztywno na pokładzie kamera pokazywała horyzont pod najdziwniejszymi kątami. W końcu platforma przybrała kształt ciężkiego katamarana ponad 10-metrowej długości, poruszającego dwoma zsynchron-

być użyta w każdym pojeździe pływającym, jadącym czy latającym. Jest wodoodporna i waży 30 kg. Zasila ją wbudowana jednostka składająca się ze zbiornika oleju, pompy i silnika elektrycznego na baterie. Użyliśmy ją przymocowaną do statywu, a nawet zainstalowaną na końcu wysięgnika. Uzyskaliśmy fantastyczny wręcz efekt: jak wymierzili specjalści, średnie odchylenie linii horyzontu od poziomu wynosiło w poszczególnych ujęciach 1/10 stopnia! Regulując odpowiednio ustawione platformy można było uzyskać przyjemny do oglądania i wyglądający na ekranie

fokotorem przy zdjęciach podwodnych daje efekt taki, jakbyśmy używali szkła powiększającego a nie najzdu na obiekty. Wobec tego musieliśmy dokonać wynalazku. Zbudowaną inną platformę, rodzaj katamaranu poruszanego mocnymi silnikami i rozwijającego dużą szybkość. Pomędzy pływakami zainstalowano coś w rodzaju gruszek od cementowozu, tylko mniejszą, zakończoną obsadą kaemu z wieżyczkami tylnego strzelca superfortecy B-17 z okresu II wojny światowej. Obsada ta umocowana była w taki sposób, że można było manipulować

umocowaną w jej centrum kamerą jak karabinem maszynowym, zmieniając kąt widzenia o 90 stopni we wszystkich kierunkach. Całe urządzenie było oczywiście wodoszczelne. Wewnątrz „gruszki” zamknięto się szwenkiera, gruszkę opuszczano na głębokość 2 metrów pod wodę. Efekty były zupełnie fantastyczne, zwłaszcza sceny filmowane „z punktu widzenia rekina”. Nigdy przedtem nie widziałem tak udanych zdjęć podwodnych w ruchu, w tak szybkim ruchu. (z wywiadu Scotta Hendersona w „American Cinematographer”)

SZCZĘKI W KAMERZE

ności, stał się jeszcze bardziej naturalny, ma też specyficzną, trudną do zdefiniowania „osobowość” działającą w sposób chytry i podstępny, wyraźnie toczy grę z tropiącym go policjantem.

Realizacja filmu była przedsięwzięciem ogromnie kosztownym, pochłonęła blisko 20 mln dolarów. Wyniki eksploatacji nie w pełni potwierdziły nadzieje producentów.

Mówi operator Michael Butler:

Największym problemem była praca z nadnaturalnej wielkości mechanicznym rekinem, który — z wyjątkiem King-Konga — był z pewnością największą makietą mechaniczną, jakiej kiedykolwiek używało kino. Technicy usiłowali zrobić go lepiej, bardziej funkcjonalnie, i w taki sposób, aby jeszcze bardziej straszny widza, niż to miało miejsce przy pierwszych „Szczekach”. Wierzę, że im się to udało, ale praca nad specjalnym efektem w przypadku przedmiotu tak dużego, jest bardzo męcząca. Dodajmy, że trzeba było pracować w wodzie, przy nieustannie zmieniających się warunkach oświetlenia, tak aby została zachowana ciągłość plastyczna obrazu... Pracowałem wielokrotnie nad morzem

warunki oświetlenia wrócić do tych, jakie były poprzednio. Ale oznaczało to konieczność prowadzenia obrzydliwej wprost „buchalterii”, bowiem krećliśmy bez żadnej ciągłości scen i bywało, że mieliśmy jednocześnie zaczętych 10 różnych sekwencji. Doszło do tego, że poszczególne ujęcia w jednej sekwencji powstawały w odstępie 6 miesięcy. Muszę przyznać, że producent filmu w pełni wziął pod uwagę te niezwykle trudności organizacyjne i nie pilili nas zbytnio z terminami.

Jednakże wtedy, gdy do akcji wszedł nasz rekin, już nie można było tak precyzyjnie wyczekiwać na idealną powtarzalność warunków atmosferycznych. Każdy dzień pracy z rekinem kosztował 125 tysięcy dolarów!

Morskie filmy „z potworami”, takie jak „Szczeki” czy „Orca”, posługiwały się jedynym statkiem. W naszym przypadku było kilkanaście jednostek pływających, i to tak trudnych do kontrolowania, jak żagłówek. Wielu naszych kilkunastoletnich aktorów w ogóle nie umiało żeglować i trzeba ich było tego uczyć. Z żeglowaniem jednak dzielnie dawał sobie radę, natomiast mieli nieomal nierozwiązalną

nizowanymi, 200-konnymi silnikami. Na pomoście ustawiono kran typu „Nike”, a na nim żyroskopową platformę zachowującą zawsze poziome ustawienie wobec horyzontu. Była znakomita, tylko w żadnym sposobie nie mogłem pomieścić na tej platformie całej ekipy zdjęciowej, z oświetlaczami i obsługą aparatury dźwiękowej. Wobec tego zbudowano nowy katamaran, tym razem dwa razy dłuższy. Dopiero wówczas mogliśmy wypruszyć na zdjęcia. Użyliśmy do budowy dwu niewielkich stateczków transportowych marynarki wojennej kompletnie wypełnionych styropianem i pokrytych pomostem z desek. Wyglądało to solidnie i było zupełnie niezatapialne.

Wspomniana platforma żyroskopowa „Tyler Gyro Platform”, to prawdziwy cud techniki. Pozwala ona na natychmiastową, automatyczną korekcję wszelkich odchyżeń od poziomu, w każdym kierunku i pod każdym kątem. Jest urządzeniem wykorzystującym najnowsze osiągnięcia fizyki, elektroniki, hydrauliki i inżynierii materiałów. Ze względu na swe małe rozmiary (ma kształt walca o średnicy 55 cm i wysokości 30 cm) może

zupełnie naturalnie, efekt lagodnego falowania.

Rekin ważył 5 ton i zainstalowany był na końcu wysięgnika specjalnej platformy wyposażonej we wszelkiego rodzaju urządzenia hydrauliczne, sterujące ruchami makiet. Były one jednak bardzo ograniczone. Wspomniana platforma ważyła 35 ton, miała 27 m długości i 14 m szerokości. Ułożono na niej tor kamerowy w formie koła, po którym poruszało się owo ramię wysięgnika. Rekin mógł więc się pokazywać przed kamerą oraz wpływać na powierzchnię pod każdym kątem, za naciśnięciem guzika uruchamiającego urządzenie hydrauliczne. Problem polegał jednak na tym, że maksymalna szybkość rekina nie przekraczała 20 mil na godzinę, co było stanowczo za wolno. Kamera „Panavision”, której używaliśmy, nie ma przy systemie soczewek anamorfozycznych dla panoramicznego ekranu możliwości użycia transfokatora i „przyspieszenia” tym sposobem ruchu fotografowanego obiektu. Próbowaliśmy posłużyć się lżejszą kamerą z transfokatorem „Arriflexem” czy „Mitchell Mark II”, ale bez pozytywnych rezultatów. Okazało się, że posługiwanie się trans-

SPOTKANIE Z PRZYRODĄ

CZYLI: SZCZĘKI NR 3!



Rys. Andrzej Tylczyński

NIE TYLKO HISTORIA

Wśród wielu ludzi walczących o wolną Polskę był również **JOZEF FUDALA**. Urodził się 11 lutego 1911 roku w Popielarni koło Radomska. Pochodząc z rodziny chłopskiej, znał doskonale sytuację wsi polskiej okresu międzywojennego. Dąsajność swą w ruchu ludowym rozpoczął przed drugą wojną światową w gminie Wielgomłynny. Należał do Związku Młodzieży Wielkiej RP „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Brał udział w zjazdach i wiecach ludowych oraz w strajkach chłopskich, których nasilenie przypada w Polsce na lata 1932-1933 i 1936-1937. Powołany w sierpniu 1939 roku do służby wojskowej, walczył w kampanii wrześniowej. Udało mu się uniknąć niemieckiej niewoli i w końcu października 1939 r. wrócił do rodzinnej wsi — Popielarni.

Niespokojny charakter nie pozwolił Fudale przeczekać okresu okupacji z założonymi rękami. Rozpoczął działalność konspiracyjną. Otrzymał pseudonim — „Szczupak”, odzwierciedlający nie tylko jego wygląd zewnętrzny (szczupły wysoki blondyn), ale i niezwykłą ruchliwość.

Najpierw należał do Związku Walki Zbrojnej — poprzedniczki Armii Krajowej. Później wraz z innymi działaczami ludowymi (m. in. Janem Kulką i Bolesławem Prudem) organizował Straż Chłopską, następnie Bataliony Chłopskie. Został komendantem gminnym w Wielgomłynach, a wkrótce zastępcą komendanta na powiat radomszczański. Jeszcze wcześniej kiedy na zlecenie kierownictwa ruchu ludowego zaczęto tworzyć w roku 1940, na różnych szczeblach organizacyjnych tzw. trójki polityczne.



przedstawiciele PPR, SL i PPS-WRN oraz podległych im organizacji wojskowych. Na tym posiedzeniu powiedziano, że „masy ludowe domagają się jak najściślejszej współpracy wszystkich czynników demokratycznych”.

Gdy na krajowym zjeździe przedstawiciele SL w Warszawie 21 lutego 1944 roku, powstało ugrupowanie SL „Wola Ludu”, skupiające radykalnych ludowców, jednym z pierwszych jego członków w powiecie radomszczańskim został Fudala. On też podpisał pismo 9 maja 1944 roku, jakie ludowcy radomszczańscy wysłali do ludowców powiatu włoszczowskiego z propozycją zwolnienia wspólnej konferencji w celu rozważenia sprawy połączenia BCH z AL. Jego zastępą jest też i to, że wiosną i latem 1944 roku część oddziałów BCH w powiatach radomszczańskim i włoszczowskim weszła na zasadach autonomicznych w skład AL.

23 kwietnia 1944 roku Fudala, wraz z innymi działaczami ludowymi, wszedł w skład utworzonej nieco wcześniej bo 19 marca tego roku, Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku (do tej pory nie było w tej radzie ludowców). Posiedzenie, na którym dokonano reorganizacji PRN odbyło się w mieszkaniu stolara, Stefana Rybaka, pseudonim „Znachor” — członka PPR, zamieszkałego w oficynie przy ul. Fabiańskiego 24.

W końcu maja 1944 roku Józef Fudala organizuje w podradomszczańskich lasach Święto Ludowe, w którym uczestniczyło ponad 300 żołnierzy BCH i przeszło 400 mieszkańców wsi Gostawice. Uroczystości rozpoczęły się od złożenia raportu przez dowódcę batalionu BCH — Jacka Cleciurę. Raport przyjął Fudala. Dokonał on przeglądu zgromadzonych oddziałów, a następnie zapoznał obecnych z sytuacją na

frontie wschodnim. Omówiono także zadania w dalszej walce o wolność i zachowanie się ludności podczas walk zbliżającego się frontu oraz sprawy organizowania władzy ludowej w regionie radomszczańskim.

Nie obyło się bez starych, rewolucyjnych pieśni chłopskich i pieśni partyzanckich. Pomimo, że niedaleko była kolonia Antoniew, zamieszkała przez Niemców i strzeżona przez żandarmerię przebywających w specjalnym bunkrze, a nad lasem krążył samolot niemiecki, nie umilkły partyzanckie pieśni. Ich echo szeroko rozchodziło się po lesie i trafiało do serc ludzkich, budziło nadzieję i dodawało sił do walki.

Kiedy 30 lipca 1944 roku odbywała się w gajówce w Ojrzniu koło Radomska pierwsza sesja konspiracyjnej Łódzkiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, wśród 27 uczestników posiedzenia był Józef Fudala.

„W mieszkaniu naszym — wspomina żona Fudali — odbywały się często zebrania i odprawy polityczne i partyzanckie. Przechowywaliśmy chorych i rannych partyzantów, pomagaliśmy jeńcom radzieckim ucieczką z niewoli. Ponieważ mąż mój utrzymywał kontakty z Armią Ludową, w której walczyli także partyzanci radziecy, dlatego też przebywał u nas bohaterki oficer „Jasza” — Jackow Salnikow (poległ w walce z hitlerowcami w dniu pierwszego posiedzenia LWRN), major Gera — Michał Glumow i inni”.

Józef Fudala uczestniczył w tworzeniu gminnych rad narodowych garnizonów partyzanckich odbierał przysięgę od nowo wstępują-

HENRYK SZUBERT

NAZYWALI GO „SZCZUPAK”

partyzanci, wśród których znajdowali się m. in. Jan Drogosz, Kazimierz Drogosz, Józef i Tereska Tadeusz Barański.

Za czynną i wszechstronną działalność konspiracyjną, Józef Fudala był poszukiwany przez okupantów i prześladowany przez członków NSZ. Często musiał zmieniać miejsce pobytu.

Wreszcie nadeszło wymarzone i wywalzone wyzwolenie. Józef Fudala nadal pracuje aktywnie. Jest członkiem WRN w Łodzi. Pełni funkcję sekretarza Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego w Radomsku. Bierze udział w obchodach pierwszego po wyzwoleniu Święta 1 Maja i Święta Ludowego w powiatowym Radomsku. Przemawia do ludowców, a następnie prowadzi ich pochód ulicami miasta.

30 maja 1945 roku uczestniczył w drugim legalnym posiedzeniu WRN w Łodzi. Podczas przerwy w obradach wychodzi z kilkoma uczestnikami sesji z budynku, aby odetchnąć wiosennym powietrzem i nacieszyć się małym słoneczkiem. Nagle rozlega się strzał. Fudala łapie się za bok. Śmiertelnie rannego przewieziono do jednego z łódzkich szpitali, gdzie umarł następnego dnia — 31 maja, około godziny 7 rano. Pochowany został w Niedźspólnie.

Tak zginął z rak reakcyjnego podziemia jeden z najaktywniejszych działaczy ludowych Radomszczańskich. Zginął tragicznie, w początkach istnienia wolnej ludowej Polski, o którą walczył. Pośmiertnie Józefa Fudalę odznaczono Krzyżem Partyzanckim i Krzyżem Grunwaldu oraz mianowano go kapitanem rezerwy Ludowego Wojska Polskiego.

Fudala został przewodniczącym trójki w Wielgomłynach.

Aby ułatwić sobie działalność konspiracyjną Józef Fudala pracował w spółdzielni „Wytrwałość” w Niedźspólnie. Jako prezes tej spółdzielni mógł bez ścigania na siebie podległości swobodnie poruszać się po całym powiecie radomszczańskim. Mógł bez przeszkód nawiązywać i utrzymywać kontakty z innymi działaczami konspiracyjnymi. Kontaktował się m. in. z Janem Dab-Kocielem oraz z przedstawicielem PPR i GL — Henrykiem Sochań-Damagalskim.

W październiku 1943 roku przedstawiciele ruchu Ludowego z powiatu radomszczańskiego — Józef Fudala, Błażej Dana i Aleksander Ostalowski, na konferencji z przedstawicielami Komitetu Okręgowego PPR, wyrazili żądanie na nawiązanie współpracy politycznej między ruchem ludowym a PPR. Wymieniano konspiracyjną literaturę, nawiązywano kontakty w gminach i gromadach, wspólnie demaskowano, w oczach opinii publicznej postępowanie reakcji, a głównie Narodowych Sił Zbrojnych.

Józef Fudala należał do gorących zwolenników współdziałania różnych sił demokratycznych i patriotycznych. 31 marca 1944 roku odbyło się w Radomsku wspólne posiedzenie

śli, a to po to, by niejednokrotnie stwierdzić, że wiele z tego, co niegdyś minęło bez echa, nie zostało dojrzałe czy też zrozumiane przez współczesnych, zdolne jest pobudzić nasze współczesne zainteresowania i wyobraźnię, zainspirować nową myśl poszukującą prawdy.

To wzmoczone zainteresowanie dorobkiem historyków minionych pokoleń jest zapewne — jak przypuszczam — jednym z warunków powodzenia ukazującej się u nas w Państwowym Instytucie Wydawniczym serii „Klasyków Historiografii Polskiej”, serii, która od pewnego czasu mam okazję zajmować się bliżej. Seria ta — mimo że ukazało się już w niej sporo tomów — wciąż jest w stadium chciałoby się rzecz rozpuścić: to, co dotąd wydano, stanowi ledwie cząstkę szerzej zakrojonego programu, którego realizacja musi być rozłożona na lata. Już jednak z tego, co się dotychczas ukazało, okazuje się, że u podstaw tej serii leży stosunkowo szerokie i elastyczne rozumienie pojęcia historiograficznej klasyki. Zamierza ona bowiem proponować swym czytelnikom zarówno dzieła, które od dawna były określane mianem prac klasycznych, jak i prace, które zdaniem jej kierownictwa i współpracowników należałoby dopiero włączyć do naszej dziejopisarskiej klasyki. Dlatego też nie należy

jak się zdaje, sprawą przypadkową. Był W. Sobieski historykiem, który niewątpliwie poszukiwał nowych horyzontów, historycznego badania, odważnie sięgał po inspiracje

HISTORYK NIEPOKORNY

się dziwić, że oprócz znakomitych, dawnych dzieł historycznych, seria zamierza oferować — i to już w niedługiej przyszłości — także wybitne prace, które powstały stosunkowo niedawno, nie pokryły się jeszcze patyną czasu, a godne są stanąć na jednej półce obok tamtych — uznawanych od pokoleń za najdoskonalsze...

Ostatnim tomem, który ukazał się w „Klasykach Historiografii Polskiej”, jest zbiór prac Wacława Sobieskiego, opatrzony tytułem: „Trybun ludu szlacheckiego”, opracowany przez Stanisława Grzybowski (1978). O W. Sobieskim pisze się dziś stosunkowo niewiele: niedawno poświęcił mu osobną książkę Henryk Barycz. Nie jest to,

ciwiącym się ugodowym i pesymistycznym zapatrywaniem swoich krakowskich mistrzów, poszukującym nowego spojrzenia na historię jako naukę, na proces dziejowy, a

uczono na Uniwersytecie Jagiellońskim: W. Sobieski nie przeżył swego dramatu: zmarł niespodziewanie przy swym biurku, kreśląc karty pamiętników.

Był historykiem, obdarzonym ogromną pasją, która niejednokrotnie wprost go ponosiła: pozostał w pamięci, jako uczonej niezmiernie kontrowersyjny. „Wielki pisarz i sławny historyk — ale nie zawsze odwrotnie — powiada o nim St. Grzybowski — sercem, a nie rozumem ocenił naszą przeszłość, a serce to było pełne instynktów szlacheckich, pełne jednak również nie uświadomionych i nie kontrolowanych uprzedzeń, lęków, nienawiści, bolesnej spuścizny czasów niewoli pogłębianej ciężkimi przeżyciami osobistymi. Błędy i słabości przemienily z człowiekiem, dzieło jego pozostało. I stanowi żywą ilustrację słów Sobieskiego: „Zdaje się, jakby nawet nasze niedomagania pod wpływem gorącego patriotyzmu przerażwały się w skrzydła naszego ducha narodowego”.

ANDRZEJ F. GRABSKI



Foto: W. Parys

W dniu wybuchu II wojny światowej Stany Zjednoczone dysponowały zapasami złota wartości 8.128 milionów dolarów, Wielka Brytania — 2.396 mln dolarów, Francja — 1.435 mln dolarów, Włochy — 124 miliony. Hitlerowskie Niemcy, mając zapasy własnego złota na sumę zaledwie 17 mln dolarów, sięgnęły po nie do państwowych i prywatnych banków w krajach okupowanych.

Trudno by zliczyć zagarnięte w ten sposób złoto, tym bardziej, iż wiele z tych walorów przylgnęło do rąk poszczególnych dyktatorów stojących blisko rekirowanych bogactw. Niemniej wyniki tych najści na banki odnotowywano w dokumentach i te dowody zachowały się do dziś. Dzięki nim, po zakończeniu wojny, poszkodowane narody mogły się upomnieć o swoje mienie.

Pierwszą ofiarą tej nazistowskiej praktyki była Czechosłowacja. Czechosłowackie złoto Niemcy zaczęli zagarniać jeszcze przed okupacją tego kraju. Kiedy po układzie monachijskim z 30 września 1938 roku Niemcy hitlerowskie anektowały Sudety, Hitler zażądał od Narodowego Banku Czechosłowacji przekazania odpowiedniej części drogiego metali i walut. Goering, z kolei, wezwał w tej sprawie do swojej rezydencji ambasadora Czechosłowacji, a Ribbentrop groził sankcjami czechosłowackiemu ministrowi spraw zagranicznych. Czechosłowacja po-

cja jako zaliczkę. Pozostałe 39.226 kg złota stały się nagle „niemożliwym do rozwiązania” problemem dyplomatycznym. Oczywiście, nie z winy Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Zwrotowi tego złota już 30 lat sprzeciwiają się Stany Zjednoczone. Czechosłowackie złoto pozostające w USA jest — praktycznie rzecz biorąc — ostatnim, wciąż jeszcze otwartym problemem w polityce zagranicznej CSRS, dotąd nie rozwiązany od czasów II wojny światowej. Rząd CSRS uważa zwrot swego złota za kwestię polityczną pierwszorzędnej wagi, miernikiem chęci USA do likwidacji następstw II wojny światowej.

Dwoje członków wspomnianej komisji trójstronnej: Francja i Wielka Brytania niejednokrotnie już opowiadały się za wydaniem tego złota jego prawowitemu właścicielowi, to jest Czechosłowacji. Natomiast trzeci członek komisji — USA — nie kwestionował wprawdzie tego prawa Czechosłowacji, jednakże odmówił wydania jej złota, wiążąc jego zwrot z żądaniem odszkodowań za amerykańskie mienie znacjonalizowane w Czechosłowacji. Warto wyjaśnić, iż rząd czechosłowacki już w swoim oświadczeniu w sprawie polityki handlowej, z dnia 14 listopada 1946 roku, wyraził chęć wypłacenia odszkodowania za mienie amerykańskie, które zostało — lub będzie — znacjonalizowane. Wstępne rozmowy na

Wśród chorób najbliższych związanych z wahaniami atmosferycznymi, biometeorolodzy wymieniają zawał mięśnia sercowego. W drugiej połowie 1976 roku lekarze kliniki San Giovanni w Rzymie odnotowali, że liczba chorych na zawał gwałtownie wzrosła. Tego wzrostu nie można było wyjaśnić. Nieco później badania przeprowadzone przez Instytut Zdrowia wykazały, iż w tym czasie zanotowano w Rzymie napływy wielkich mas gorącego powietrza — wiał sirocco.

Ale zawał nie jest jedynym z nieszczęść jakie przynosi sirocco, nasycony dodatnimi ładunkami elektryczności. W różnych krajach wiatr ten nosi różne nazwy: mistral — we Francji, Santa Anna — w południowej Kalifornii, chamsin — w krajach arabskich, fen — w Szwajcarii, Niemczech i Austrii, halny — w Polsce. Atakuje on system nerwowy człowieka, a nawet u zdrowych ludzi wywołuje często uczucie jakiejś dolegliwości — rozdrażnienia, depresji, migreny.

Zdaniem klimatologów, około 90 procent mieszkańców kuli ziemskiej jest meteoropatycznymi, tj. ludźmi, których organizm silnie reaguje na kaprysy pogody. Oczywiście, należy odróżnić prawdziwych meteoropatyków, poważnie zapadających na zdrowiu pod wpływem gwałtownych zmian pogody, od osobników meteorolabilnych, cierpiących na różnego rodzaju chroniczne zaburzenia, które nasilają się podczas zmian meteorologicznych.

Klimat może wywierać wpływ także na działanie leków. Gdyby tak nie było, to dlatego, na przykład, lekarstwo, zażyte o określonej godzinie dnia i w okre-

ślonych warunkach meteorologicznych, daje często efekty zupełnie inne od działania wywołanego przez ten sam lek, a podanego o innej godzinie dnia i w innych warunkach meteorologicznych? — pytają uczeni. Dlaczego

Z PRASY

efektywność narkozy może się wahać w zależności od tego, czy świeci słońce czy też niebo pokrywa gęste chmury?

Pytania te czekają na odpowiedź biometeorologów. Znany włoski uczeń, prof. B. Messina, uważa, iż tak duża liczba ludzi cierpiących z powodu zmian pogody wskazuje na konieczność nawiązania bliskiej współpracy między lekarzami i meteorologami.

Współpraca ta rozpoczęła się w 1956 roku, kiedy w Leiden, w Holandii, założono Towarzystwo Biometeorologiczne, pierwszą międzynarodową organizację zajmującą się badaniem związku między zmianami pogody i zdrowiem człowieka.

„Panorama” — Mediolan

ZŁOTY DŁUG

rzucana przez swych sojuszników musiała skapitulować.

W czechosłowackim archiwum państwowym radziecki dziennikarz G. Ustinow odnalazł dokument, z którego wynika, iż Narodowy Bank Czechosłowacji przekazał 7 marca 1939 roku do Berlińskiego Banku Ciesarskiego 14.536 kilogramów złota. Pół roku po układzie w Monachium hitlerowskie Niemcy okupowały Czechosłowację i na terytorium Słowacji stworzyły państwo buforowe. 15 marca 1939 roku wojska niemieckie okupowały Czechosłowację, ale już kilka dni wcześniej Goering wydał tajne polecenie: grupa wysokich urzędników ministerstwa finansów otrzymała zadanie zajęcia czeskich banków.

Rankiem, 15 marca 1939 roku, oddziały SS zajęły Narodowy Bank Czechosłowacji, skąd od razu przewieziono do Banku w Berlinie 23.087 kg złota w sztabach, a w czerwcu 1940 roku dalsze 6.375 kg. Jednocześnie hitlerowscy emisariusze zawiadzeli 1.008 kg złota w monetach, które w sejfach tutejszych banków przechowywały koncerny budowy maszyn „Skoda” i „Zbrojovka”. Już w pierwszych godzinach okupacji specjaliści wysłannicy Berlińskiego Banku spenetrowali banki akcyjne, kasy oszczędności, lombardy, spółdzielcze kasy i inne, rekwirując, w sumie, 65 milionów koron. W Narodowym Banku Czechosłowacji ich „trofea” przewyższały miliard koron.

Zabór czechosłowackiego mienia trwał do ostatnich dni wojny. I tak, 24 kwietnia 1945 roku „sekretarz stanu” w tzw. Protektoracie Czech i Moraw, K. H. Frank, zażądał od Narodowego Banku Czechosłowacji (NBC) przekazania mu „na cele specjalne” całej waluty przechowywanej w banku. W NBC zachowały się pokwitowania niemieckich urzędników z odbioru 80.000 dolarów amerykańskich, 35.000 dolarów kanadyjskich, angielskich funtów szterlingów, szwajcarskich franków, norweskich i szwedzkich koron, walut — holenderskiej, duńskiej i innych. Już po upadku i kapitulacji Berlina kancelaria Franka przedłożyła w Narodowym Banku Czech i Moraw czek na wypłacenie 1.072 milionów koron. Bank odmówił, na co Frank zareagował urzędowym pismem, pełnym pogroźek. Nie zdażył wprowadzić ich w czyn, bowiem 5 maja 1945 roku wybuchło w Pradze powstanie.

Hitlerowcy zagarnęli w Czechosłowacji, w sumie, 45 ton 300 kg złota: w sztabach, monetach, wyrobach ze złota. Po zakończeniu wojny, na konferencji w Paryżu, postanowiono iż złoto, które skonfiskowały wojska sojusznicze w Niemczech, powróci do ich prawowitych właścicieli. Wykonanie tego postanowienia wzięła na siebie trójstronna komisja, do której weszli: Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone. Komisja wszakże uznała prawo Czechosłowacji do otrzymania tylko 24 i pół ton złota. Wszystkie państwa, poszkodowane przez hitlerowskie Niemcy, otrzymały swoje złoto już w pierwszych latach po wojnie. W początkach 1948 roku część złota — 6.074 kg — otrzymała Czechosłowacja

ten temat odbyły się w Pradze w latach 1946 i 1948 oraz wiosną 1949 roku w Waszyngtonie. Nie zostały jednak uwieńczone powodzeniem wskutek wygórowanych żądań strony amerykańskiej.

W lutym 1948 roku, w miesiąc po przekazaniu Czechosłowacji części złota w formie zaliczki, CSRS weszła na tory budownictwa socjalistycznego. Amerykańskie monopole zrozumiały, że nie ma już nadziei na żadne zmiany i w tej sytuacji postanowiono w USA czechosłowackie złoto zatrzymać. W związku z tą całą sprawą miał miejsce fakt bez precedensu w światowej praktyce handlowej. Zaraz po wojnie Czechosłowacja zamówiła w USA walcarkę dużej mocy za sumę 18 milionów dolarów. Kiedy w 1947 roku rząd czechosłowacki wpłacił za nią ostatnią ratę, USA odmówiły dostawy gotowego agregatu za „karę” za przeprowadzoną nacjonalizację. Nie zgadzając się na żadne rozmowy, Stany Zjednoczone odstąpiły — raz już sprzedaną — walcarkę, Argentynie za 9 milionów dolarów. Pieniądze te przekazano osobom, które posiadały własność prywatną w burżuazyjnej Czechosłowacji.

Ale wracając do złota. Po lutym 1948 roku USA wybrały taktkę odwołania sprawy, sprzyjał temu klimat „zimnej wojny”. W początkach lat 60-tych Amerykanie wyrazili zgodę na zajęcie miejsca za stołem obrad. W 1961 roku obie strony — CSRS i USA — zaaprobowały zasady rozwiązania otwartych problemów finansowych i ekonomicznych i w 1968 roku przygotowały do podpisu odpowiednie porozumienie. Zobowiązało ono Stany Zjednoczone do zwrotu złota Czechosłowacji, a Czechosłowację do zapłacenia odszkodowania za znacjonalizowaną w CSRS własność amerykańskich obywateli i firm. Chociaż kompetentne organa USA zaaprobowały ogólną sumę proponowanych odszkodowań, to jednak nie zaprzestały stosowania taktyki odraczania sprawy. W tej sytuacji Czechosłowacja wyraziła gotowość zdeponowania sumy zastrzeżonej w porozumieniu w jakimkolwiek europejskim banku, nawet przed zwrotem swego złota. Jednakże strona amerykańska znów odmówiła ostatecznego zaaprobowania dokumentu. W listopadzie 1967 roku rząd USA, bez podania jakiegokolwiek poważnej motywacji, wielokrotnie podwyższał wartość znacjonalizowanego mienia i odpowiadającą jej sumę odszkodowań.

Nowa tura rozmów rozpoczęła się po 7 latach i 5 lipca 1974 roku parafowano drugie porozumienie, które miało uporządkować majątkowo-prawne stosunki między obu stronami. Miało ono być podpisane jesienią tegoż roku, jednak komisja Senatu USA odrzuciła porozumienie, motywując swoją decyzję zbyt niską sumą odszkodowania za amerykańskie mienie pozostawione w CSRS. W ten sposób anulowano dokument już uzgodniony i parafowany przez rządy obu państw.

JERZY CZECH

Pod koniec ub. tygodnia spotkali się w Tokio dwaj prezydenci i pięciu premierów z siedmiu najbogatszych krajów kapitalistycznych. Piąte to już tego rodzaju spotkanie — za każdym razem omawiane są trapiące Zachód sprawy gospodarcze i finansowe. Tym razem najważniejszym tematem była energetyka jako fragment obszerniejszego problemu: kryzysu energetyczno-paliwowego. Różnice zdań między wysokiemi reprezentantami krajów zachodnioeuropejskich z jednej strony a prezydentem USA z drugiej — nie rękowały w pełni pomysłowego wyniku.

Niektórzy komentatorzy przypuszczają, że poza porządkiem dziennym zachodnia siódemka omówiła także sytuację, jaka powstała po podpisaniu w Wiedniu radziecko-amerykańskiego układu o ograniczeniu ofensywnych broni strategicznych.

W drodze do Tokio nowy premier W. Brytanii — pani Margaret Thatcher zatrzymała się w Moskwie i odbyła rozmowę z premierem A. Kosyginem. Agencje piszą, że obie strony opowiedziały się za kontynuowaniem procesu odprężenia i przeciwdziałaniem wysiłkowi zbrojeni. Podkreślono też duże znaczenie SALT II.

Ta pozornie rutynowa informacja nabiera koloru, jeśli zauważymy, iż ani w manifestie wyborczym ani w mowie tronowej królowej Elżbiety II nie znalazło się nic na temat odprężenia. Dostrzegli to komentatorzy i tym bardziej stawiali pytanie, jaka będzie polityka zagraniczna konserwatystów? Oczywiście W. Brytania nie może prowadzić wyzwoleńczej polityki i nie brać pod uwagę realiów światowych. Nie może — trudno uwierzyć, aby konserwatywny rząd nawet chciał, forsować kurs antyodprężeniowy. Ale dotychczasowe milczenie zwycięskiej w niedawnych wyborach partii na temat odprężenia nie było przypadkowe. Konserwatyści ukuli też o starym rzekomo stanie bezpieczeństwa kraju (oskarżając o to labourystów), co mogło być zapowiedzią szybkiego dozbierania się W. Brytanii. W ta-

kim to kontekście wspomniany komunikat, w którym M. Thatcher opowiedziała się za rozwijaniem procesu odprężenia i za rozbrojeniem ma ważne znaczenie. Jak widać — górę wziął pragmatyzm...

Wspomnieliśmy o układzie SALT II. Odnotujmy przeto, że J. Carter przekazał go do rozpatrzenia i za-

KRONIKA TYGODNIA

twierdzenia Senatowi USA. (Przypomnijmy, że układ wymaga obustronnej ratyfikacji i dopiero po wymianie dokumentów ratyfikacyjnych wejdzie w życie). Już teraz wcale osobistości amerykańskich zabiera w tej sprawie głos. Najczęściej są to głosy poparcia. Np. jeden z najważniejszych ponoć kandydatów na prezydenta w przyszłorocznych wyborach — gubernator Kalifornii Edmund Brown nie tylko poparł SALT II, ale również skrytykował amerykański program rakiety „MX”, który ma kosztować 20 ml. dolarów.

Ale też nadal aktywni są w USA przeciwnicy układu, a właściwie przeciwnicy wszystkiego, co utrudnia ilościowe i jakościowe rozwijanie zbrojeń jądrowych. Pisze się więc o tym, że w Senacie rozegra się walka.

Rozważaliśmy na tym miejscu, jaki wpływ na rokowania wiedeńskie 19 państw na temat redukcji zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej może mieć podpisanie radziecko-amerykańskiego układu. Jak wiadomo — rokowania te trwają

długo i nie przyniosły dotąd spodziewanych wyników. W minionym tygodniu, w poszukiwaniu kompromisowych rozwiązań, państwa socjalistyczne wystąpiły z nową inicjatywą. Powinna ona przyczynić się do zmniejszenia różnic w stanowiskach obu stron. Jej istotą jest następująca: wszyscy bezpośredni uczestnicy konferencji zobowiązują się do redukcji swoich wojsk lądowych do jedynakowego poziomu 700 tysięcy żołnierzy, przy czym każdy z nich wnieść rzeczywisty wkład do realizacji tego postanowienia. Rozmiar ograniczenia liczebności wojsk poszczególnych uczestników konferencji ustalane będą przez siebie w ramach odpowiednich sojuszy — dla państw Zachodu w NATO, dla państw Wschodu — w Układzie Warszawskim. Taka wersja redukcji uwzględniła stanowisko krajów zachodnich co do sposobu przeprowadzenia tego ograniczenia.

Druga strona musi zrozumieć, że redukcja nie może naruszyć niczyjego bezpieczeństwa, może być zatem przeprowadzona tylko na zasadach równowagi. Dotychczasowe propozycje Zachodu zmierzają do tego, aby kraje socjalistyczne zmniejszyły stan posiadania w skali trzy i pół większej niż państwa NATO, co oczywiście jest dla nas nie do przyjęcia.

I na zakończenie aktualności jeszcze nieco o rokowaniach wietnamsko-chińskich. Właśnie w Pekinie rozpoczęła się ich druga runda. Znowu są one w impasse, ponieważ przewodniczący delegacji chińskiej odrzucił propozycję wietnamską, obstając przy przedstawionej przez Pekin. Ta zaś — jak stwierdziła strona wietnamska w toku poprzedniej rundy rokowań — jest próbą zmuszenia Hanoi do zmiany swej polityki; zagranicznej i przyłączenia się do maostowskiej polityki sojuszu z imperializmem.

W. SŁAWSKI

Nestor kinematografii radzieckiej, wybitny twórca, Mark Doński, od wielu lat jest głównym reżyserem Centralnej Wytwórni Filmów dla Dzieci i Młodzieży im. M. Gorkiego. Opierając się na własnych doświadczeniach, pisze Doński w artykule zamieszczonym w czasopiśmie „Sowietskij Ekran” o szczególnej odpowiedzialności artystów, którzy swą twórczość poświęcają młodzieży.

— Gorki powiedział: „Lubić dzieci to i kura potrafi. Ale umiejętność ich wychowania to wielka sprawa, wymagająca talentu i znajomości życia”. Zastanawiając

U PRZYJACIÓŁ

się nad tymi słowami, uświadamiam sobie cały ogrom odpowiedzialności, która spoczywa na nas, ludziach, działających w jedynej tego rodzaju na świecie wytwórni filmów dla dzieci i młodzieży. Od pierwszych dni mojej pracy w kinematografii uważałem Gorkiego za swego przewodnika duchowego, mistrza i nauczyciela. Zafascynowany jego pisarstwem i osobowością, postanowiłem nakreślić trylogię o dzieciństwie i młodości autora „Matki”. Poszedłem więc do Gorkiego i przedstawiłem mu swoje plany. Wysłuchał mnie uważnie, pomilczał trochę, wreszcie rzekł: „Czy to ma sens stawiać pomnik za życia?” Zmieszany nieco, odparłem: „Ależ to nie będzie żadnym pomnikiem. Chcę zrobić film o tym jak z naszego narodu wychodzą jednostki niezwykle utalentowane”.

Trylogię sfilmowałem. Ale Gorkiego utraciliśmy wcześniej, w roku 1936, zaś pierwsza część trylogii „Dzieciństwo Gorkiego” ukazała się w roku 1938. Wydaje mi się, że przenosząc na ekran prozę Gorkiego, przekaza-

łem młodemu widzowi jej najważniejsze elementy — wiarę w człowieka i sens istnienia.

Od 1948 roku nasz twórczy kolektyw nosi imię Gorkiego. Powstało tu wiele wspaniałych filmów. Wytwórnia skupiła w sobie pokązną liczbę znakomitych reżyserów, aktorów i operatorów. Czyż trzeba dodawać, jak ogromną rolę spełnia hasła wytwórnia w dziele ideowo-estetycznego wychowania dzieci, a także i dorosłych?

W ciągu wielu lat pracy nakreśliłem niemal filmów. W każdym z nich starałem się rozmawiać z widzem o sprawach zasadniczych, o tym, co wzrusza i niepokoi, o tym, co pomaga młodemu człowiekowi stać się człowiekiem przez duże C.

Dziś, kiedy obchodzimy Międzynarodowy Rok Dziecka, my filmowcy, ze szczególną ostrością uświadamiamy sobie naszą powinność wobec młodego widza. Nie wystarczy ukazywanie szczęśliwego uśmiechu naszych dzieci, musimy ukazywać w równej mierze straszne dzieciństwo w świecie, gdzie sumienie dorosłych jest martwe. W czasie licznych wojaży za granicę miałem okazję oglądać wiele filmów, przeznaczonych dla młodego widza. Jak wychowuje swoje młode pokolenie zachodnia sztuka filmowa? Kult siły i przemocy, nierówność rasowa, nietolerancja, pochwała wojny — wszystko dla wszystkich! Widziałem dzieci — aktorów występujących w filmach — „thrillerach”, w filmach o wampirach, diabłach i licho wie „jeszcze o czym. I były to filmy rzeczywiście straszne — nie ze względu na swą bzdurną treść, lecz z powodu potworności tej filmowej edukacji i oczywiście, jej skutków w psychice młodzieży.

Wiele jest wciąż zła i wiele głodnych, cierpiących i deprawowanych dzieci. Także i my, filmowcy, nie możemy obojętnie odnosić się do tragedii najmłodszych. Nasze zadanie jest konkretne: pomóc w budowaniu przyszłości, pomóc w zachowaniu pokoju na całym świecie, tak, aby na ziemi wolnej od wojen nigdy nie było głodu ani przemocy.

Film bowiem powinien być nie tylko dziełem sztuki, lecz również instrumentem walki o najsłabsze ideały ludzkości, o szczęśliwy uśmiech dziecka.

Dalszy ciąg ze str. 1

przekazu i wydawnictwo, o stworzenie szansy zaistnienia na rynku literatury poprzez prawidłową politykę wydawniczą — przede wszystkim wobec debiutów.

GDZIE DEBIUT?

Ostatnie lata przyniosły w Polsce wyraźny ilościowy wzrost debiutów poetyckich. Rekordowy pod tym względem okazał się 1977 rok, kiedy to światło dzienne ujrzało 65 debiutanckich tomików i arkuszy. Dla porównania: jeszcze w 1974 roku było ich tylko 18; tylu przynajmniej doliczyli się najbardziej autorytatywni w tej mierze autorzy ukazującego się od 5 lat nakładem ZG SZSP dokumentacyjnego wydawnictwa pn. „Debiuty poetyckie” — Jerzy Leszin i Andrzej K. Waśkiewicz.

Ciekawe jednak, że spośród tych 65 książek zaledwie 23 ukazało się w wydawnictwach profesjonalnych; reszta stanowi wynik współpracy młodych poetów z instytucjami administracji kulturalnej, regionalnymi towarzystwami społeczno-kulturalnymi, organizacjami młodzieżowymi itd., które tym razem występują w roli mecenasa młodoliterackich poczynań.

Cały ten nieprofesjonalny ruch wydawniczy, wyrażający się w najrozmaitszych seriach bądź pojedynczych tomikach o zasięgu regionalnym, sprawia, iż sytuację z debiutami poetyckimi porównuje się często do góry lodowej, której zaledwie skromną część widać ponad powierzchnią życia... W porównaniu tym nie ma przesady, bowiem większość wydawnictw, o których mowa, nie dociera do tzw. szerszego kręgu odbiorców. Na przeszkodzie temu stoją nie tylko nikome nakłady, ale również kolportaż, prowadzony z reguły systemem subskrypcyjnym, kanałami wewnątrzorganizacyjnymi albo poprzez ograniczoną — np. do danej województwa — liczbę księgarń.

Ale — mimo iż ten nieoficjalny ruch w zasadzie nie funkcjonuje szerzej w świadomości społeczeństwa — odegrał on i odgrywa nadal ważną rolę — właśnie wobec najmłodszych poetów. W sytuacji, kiedy to brak zainteresowania poezją młodych ze strony profesjonalnych wydawców stał się zjawiskiem powszechnym, druki nieoficjalne stwarzają szansę szybkiego debiutu, dzięki czemu możliwy odnotować w ostatnich latach nie tylko skrócenie się okresu wyczekiwania na debiut, ale również stałe obniżanie się wieku „statystycznego debiutanta”. Co wszakże nie zmienia faktu, iż tzw. spóźnione debiuty stanowią nadal spory procent.

LÓDŹ NA KOŃCU...

Wkraczając na teren „geografii debiutów” można by zapytać, jaki w tych 65 wydanych w 1977 roku i 52 opublikowanych w roku ubiegłym tomikach jest udział łódzkiego środowiska młodoliterackiego...?

Niestety, odpowiedź nie jest budująca... Przytoczę parę faktów.

W latach 1977-1978 nie ukazał się w Łodzi ani jeden debiut żyjącego tutaj poety. Co prawda, w statystykach sporządzonych przez Andrzeja K. Waśkiewicza w antologii „Debiuty poetyckie 1977” środowisko łódzkie reprezentuje trzech poetów, a WL — jeden debiut, ale liczby te są mylące. Warto więc przypomnieć, że dwójce łódzkich poetów wydało swoje pierwsze tomiki poza Łodzią: Ewa Filipczuk w PIW („Gra”), a niżej podpisany w serii „Pokolenie, które wstępuje” wydanej przez ZG SZSP w Warszawie („Wzrost”). Wiersze trzeciego autora opublikowało co prawda Wydawnictwo Łódzkie, ale Mirosław Boruszewski, którego tomik „Krew i czekolada” został nagrodzony na łódzkim Festiwalu Poezji w 1976 roku — nie jest łódzianinem.

Tomik Boruszewskiego był zresztą jedynym debiutem, który ukazał się w wychodzącej już trzeci rok serii „Biblioteki Poetyckiej” (do tej pory wyszło w niej 17 tomików, przy czym większość z nich nowa dyrekcja Wydawnictwa odrabiała stare zaległości wobec twórców z Łodzi pisarzy — członków ZLP, bądź bezpośrednich kandydatów do Związku).

Gdyby zatem wspomnianą trójkę poetów wylądować z tych rozważań, lista łódzkich debiutów w 1977 roku byłaby zerowa (podobnie sytuacja miała się w roku 1978). Można oczywiście powiedzieć zawsze, że winę za ten stan ponoszą sami poeci — bo nie są dość aktywni organizacyjnie, tj. nie potrafią uruchomić u siebie choćby regionalnej serii poetyckiej w ruchu pozaprofesjonalnym, takiej na

jaką stać było kilkanaście, często dużo mniejszych ośrodków w Polsce (z Wałbrzychem i Nowym Sączem włącznie...). Warto wszakże pamiętać, iż w ocenach poetyckiej aktywności „kryteria organizacyjne” są dość zawodne. Wystarczy przecież, że jakieś niedawno powstałe województwo założy sobie lokalną serię poetycką, a zaraz lokuje się w czołowej tabeli debiutów... Czy znaczy to jednak, iż są to debiuty dobre i interesujące, i że przez sam fakt powstania serii dany ośrodek awansował do grona najsilniejszych...?

Zmierzam do stwierdzenia, że brak zainteresowania, jakim obdarzali dotychczas młodych poetów łódzkie oficyny, nie ma zupełnie pokrycia w

Politycznego KC PZPR, które zajmowało się m.in. warunkami i czasem debiutu literackiego oraz niedostatkami materialnymi start ten utrudniającymi i opóźniającymi.

Z wypowiedzi przedstawicieli pierwszego edytora — Wydawnictwa Łódzkiego wynikało, iż głównym powodem braku poetyckich debiutów w WL jest stosunek poligrafii do drukowania poezji. Debiutanci padali by zatem ofiarą zjawiska wykraczającego poza łódzkie podwórko. Drukarnie nie są bowiem dzisiaj zainteresowane w tłoczeniu niskonakładowych tomików wierszy (w pierwszym okresie istnienia „Biblioteki Poetyckiej” WL nakład przeciętnego tomiku wahał się od 700 do 1200

daje duże szanse młodym poetom, bowiem jedynym kryterium jest w tym wypadku poziom wierszy, a nie wiek autora...

A w Wydawnictwie Łódzkim?

Pojawiły się jaskółki odmiany „na pogodę” poetom... Przede wszystkim zdecydowanie poprawiła się sytuacja w poligrafii. Grupa wykonawców poszerzyła się o zakłady w Kielcach, Toruniu oraz łódzką drukarnię prasową (obok Łódzkich Zakładów Graficznych), która przestała bronić się przed drukiem tytułów niskonakładowych (widać coś się pozmieniało we wskaźnikach...). Ta odmiana spowodowała, że w tym roku WL może zaoferować kilkanaście tomików poetyckich.

zesa Koła Młodych ŁO ZLP i pierwszego szefa Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych przy ŁDK Andrzeja W. Mikołajewskiego, ale dopiero trzeci kierownik Ośrodka Jerzy Jarmołowski sfinalizował wreszcie tę inicjatywę, znajdując oparcie w WL.

W planach nowo powstałej „Biblioteki” na rok 1979 (a trzeba się liczyć z możliwością „poślizgu”) znalazły się tomiki: Barbary Nadgórskiej („Wiersze”), Czesławy Politańskiej („Lapidaria”), Ignacego Szczepańskiego („Fomentum”) i Ludwika Gebła („Akty”). Z pierwotnych propozycji Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych przy ŁDK (sprzed dwóch lat) zachował się — niestety — jedynie tomik B. Nadgórskiej.

Kontrowersyjność tego zestawu nazwisk wiąże się przede wszystkim jednak z tym, iż w wypadku Cz. Politańskiej i L. Gebła autorzy przekroczyli już wiek, w którym przynależność do Koła Młodych nie jest krepująca... Nie chciałbym ciągnąć dalej tych spostrzeżeń, które komuś mogą się wydać niedyskretne (za co przepraszam zainteresowanych), ale również tomik I. Szczepańskiego, który od 3 lat czeka na swoją kolejkę w WL, zdaje się sugerować nieco „remanentowy” charakter zestawu... Wygląda przy tym, jak gdyby życzliwy mecenas chciał obdzielić sprawiedliwie kilka łódzkich środowisk... (Politańska wywodzi się z Klubu Nauczyciela, Gebel jest członkiem Unii Pisarzy-Medyków, a Nadgórska — członkiem Koła Młodych przy ŁO ZLP).

Do tych wszystkich uwag dyrektor i redaktor naczelny WL — dr Jacek Zaorski ustosunkował się następująco:

— Uważam, że młody twórca to taki, który zaczyna dopiero swoją drogę twórczą. Dla mnie np. jest bez znaczenia, czy ma on wedy 19, 31 czy 40 lat... To jest trochę niebezpiecznie mówić, że jak się ma „czterdziestkę” na karku, to nie można już debiutować.

Przy wyborze tomików trzyosobowa komisja złożona z przedstawicieli WL i Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych ŁDK oceniła wszystkie propozycje, jakie znajdowały się w tełkach obu tych instytucji, kierując się jedynie kryterium jakości. Zarówno metryki autorów, okres wyczekiwania w WL (na marginesie: bardzo ciekawy — moim zdaniem — tomik Gebła „leżał” u nas tylko pół roku), jak i środowiska, które reprezentują, nie były żadnymi argumentami. Do propozycji komisja podchodziła nie z suwniarką polonisty, ale z zasadniczym pytaniem: co nowego wnosią one do naszej poezji? W komisji zasiadli zarówno teoretycy, jak i praktycy-poeeci o zróżnicowanych gustach, nie ma więc powodów by podejrzewać ją o niekompetencję... Podkreślam: nie interesowały nas okoliczności zewnętrzne. Konkretnie „książek środowiskowych” odrzuciliśmy już zresztą dość dawno, m.in. nie przyjmując propozycji wydania almanachu Unii Pisarzy — Medyków. Każdy tom wierszy, niezależnie od przynależności jego autora, jest określonym dziełem, które się musi samo bronić. Tworzenie „książek środowiskowych” przypomina za trochę budowanie literackiego getta...

Tak więc, choć już narodzinom „Biblioteki Młodych” (nawiasem: przymiotnik w nazwie otwiera drzwi nie tylko debiutantom, gdzie jednak — przy tak elastycznym rozumieniu, jakie zaprezentował dyr. Zaorski — kończyć się będzie „młodość”...?) towarzyszą pierwsze wątpliwości, warto podkreślić fakt, iż w WL nastąpiła jak gdyby lepsza passa dla poezji i poetów (choć z koncepcji almanachu po uruchomieniu nowej serii w końcu zrezygnowano). Idea debiutanckich tomików, powzięta przed laty w Kole Młodych i Ośrodku Sztuki i Kultury Młodych ŁDK, uzyskała wreszcie materialny kształt.

Daleki jestem od dyskredytowania z góry wartości pierwszej „czwórki” tomów; chciałbym mieć wszakże nadzieję, iż kolejne kwalifikacje (najbliższa — we wrześniu 1979 r.) wyłaniać będą propozycje coraz ciekawsze, że poziom nowej łódzkiej serii poetyckiej będzie stale wyższy. Istnieje w Łodzi grupa młodych poetów, która jest w stanie — jak sądzę — zagwarantować dopływ propozycji na najbliższych kilka lat (nie licząc tych, które już są w WL).

Byłoby chyba jednak wskazane, aby fakt ten znalazł nelne odbicie w ocenach komisji, i aby kwalifikacji tego, co już jest w WL, towarzyszyła penetracja środowiska, próba przyciągania do „Biblioteki Młodych” rzeczywiście najlepszych (głosem doradczym mogłoby oficynie służyć w tej mierze członkowie Zarządu Koła Młodych). Nie będzie to sprzeczne z demokratycznym duchem działalności komisji, a przecież pozwoli spośród kilkudziesięciu propozycji rocznie wybrać tomy najbardziej znaczące, debiuty — najbardziej dojrzałe. Tylko wówczas „Biblioteka Młodych” spełni swoją rolę. Wobec młodych i środowiska, które reprezentują.

DEBIUTANCI — KŁOPOTY I NADZIEJE

rzeczywistości, tj. w możliwościach, ambicjach i aspiracjach poetów. Chętnych do debiutu nie brak. Co więcej, nie brak takich, którzy te debiuty powinni już mieć za sobą.

Dość powiedzieć, że spośród prawie 40 członków Koła Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP, tylko pięciu wydało swoje pierwsze tomiki, a tylko jeden ma ich już dwa. Możemy jednak z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że co najmniej dziesięciu dalszych nie tylko godnych jest debiutu książkowego, ale potrafiloby się wyległymować niezbędna do podjęcia rozmów z wydawnictwem **Hezba wierszy** (zn. przynajmniej jednym arkuszem wydawniczym). Wymieniać choćby takich poetów, jak A. Babaryko, Z. Boguszewicz, Z. Dominiak, B. Jachowicz, J. Jarniewicz, K. Kwiatkowska, E. Kolbus, B. Nadgórska-Wisniewska, K. Smoczyk, J. Wołdecki i W. Wiśniewski. Gdyby w Łodzi istniała prawdziwa polityka wydawnicza — autentyczny mecenat wobec najmłodszych, tomiki wspomnianych utworów należałoby, jak sądzę, wydać w pierwszej kolejności. I to nie tylko dlatego, że większość z nich przekroczyła dwudziesty piąty rok życia, a niektórzy osiągnęli „trzydziestkę”. Podstawową przyczyną jest obecność tych poetów w obiegu czytelnictwa i krytycznym (vide np. tekst Doroty Chrościelewskiej pt. „Młoda poezja łódzka” ogłoszony w marcowym numerze „Poezji” z br.). Wszyscy oni są w pełni dojrzałi do wydania pierwszych tomów.

Dlaczego nie wydali ich jeszcze? Czemu pozostali poza zasięgiem oddziaływania łódzkiej oficyny, odpowiedzialnych m.in. za mecenat nad tutejszym środowiskiem?

Sprawa — jak się okazuje — nie jest jednoznaczna, a wina nie leży tylko po stronie „głównych oskarżonych”, czyli łódzkich edytorów. Warto zatem zwrócić uwagę na

ARGUMENTY WYDAWCÓW.

Rozmawiałem z nimi dwukrotnie, po raz pierwszy we wrześniu ubiegłego roku, drugi raz — w czerwcu, w pół roku po posiedzeniu Biura

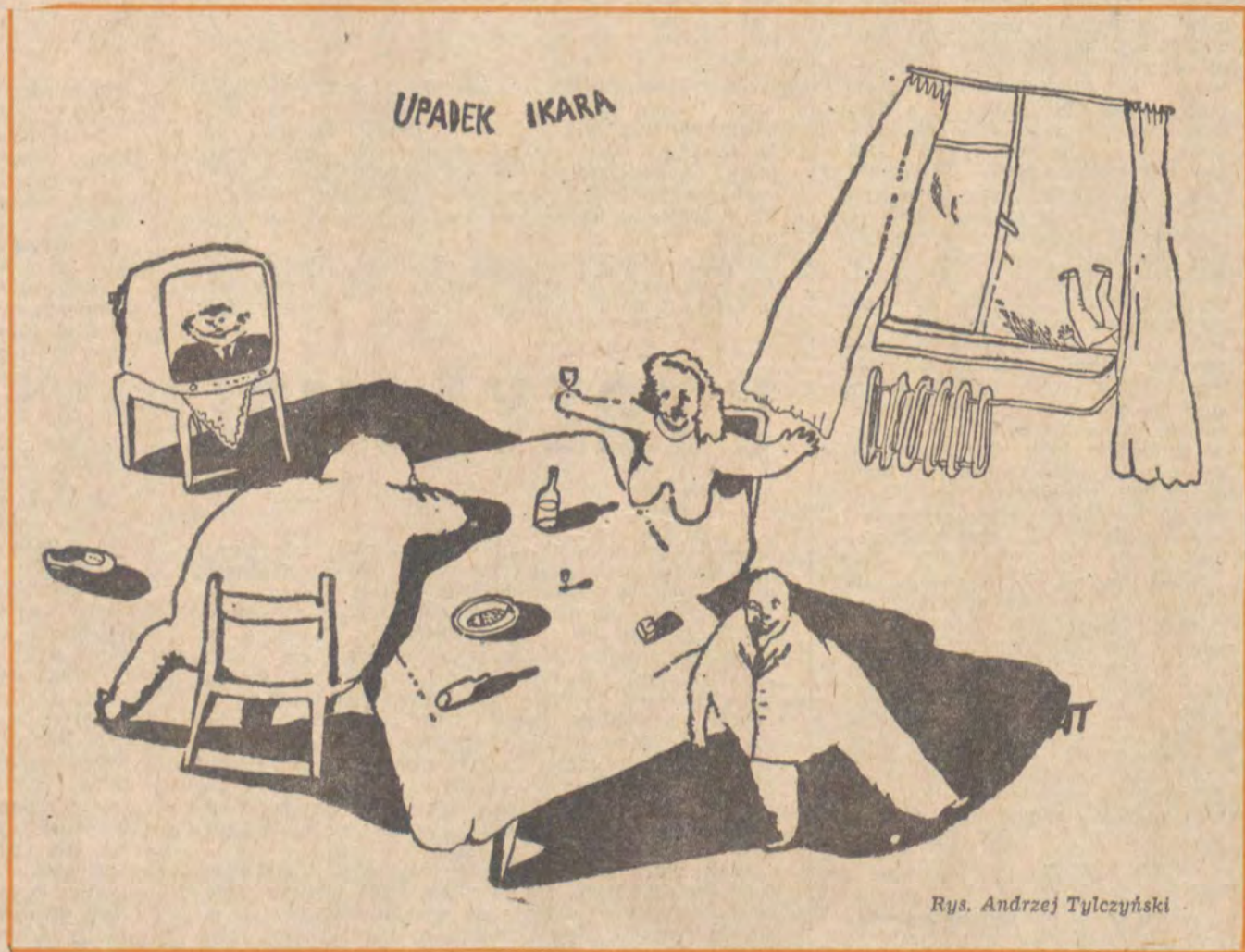
egz.), które pochłaniają tyle samo przygotowań co książki masowe, wysokonakładowe (a więc z natury bardziej opłacalne). Z drugiej strony niewiele zostało u nas małych zakładów graficznych, które mogłyby specjalizować się w druku poezji systemem „małej poligrafii” (tym samym placimy koszty uprzemysłowienia tej gałęzi produkcji).

Niechętny stosunek drukarni do poezji limitował dotychczas wydawnicze możliwości „Biblioteki Poetyckiej”. Wobec jednoczesnych odziedziczonych po poprzednikach zaniedbań wobec środowiska „starych” łódzkich literatów, trudno się nawet dziwić, że kierownictwo WL nie znajdowało miejsca dla najmłodszych poetów, nie będących jeszcze członkami ZLP — wśród sześciu zaledwie wydawanych do tej pory rocznic tomików.

Jesienią ubiegłego roku rozmawiałem także na temat debiutów poetyckich z reprezentantem drugiego łódzkiego edytora — Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Jego oczekiwania kształtowały się podobnie. Zdaniem dyr. Jerzego Gosa, na dobrą prozę, literaturę faktu, plakat papieru w KAW-ie nigdy nie zabraknie... A dla poezji? No cóż, nawet w tak rozległym profilu agencji znajduje się ona od niedawna, przy czym łódzki Oddział ukierunkowano na poezję dla... dzieci. W zeszłym roku w dość mglisty — co prawda — perspektywie (2-3 lat) rozmyślano jednak jeszcze nad możliwością przeglądowej publikacji łódzkiego środowiska młodoliterackiego.

W DZIESIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

wróciłem do pytań o debiuty... Łódzki Oddział KAW ostatecznie zrezygnował z przynależności do almanachu młodej łódzkiej literatury, przekazując tę propozycję WL. Zarysowała się jednak możliwość udziału tej placówki w podjętej centralnie serii poetyckiej, prezentującej wiersze o dużych walorach ideowych, społeczno-politycznych (by nie używać niezbyt ścisłego w stosunku do poezji terminu: „zaangażowana”). Seria ta — stwierdził dyr. J. Gos —



Rys. Andrzej Tylczyński

TOMASZ SOLDENHOFF

Nasze gimnazjum, oznaczone urzędowo rzymską jedynką, uważało się za lepsze od innych. Nie dlatego, że poziom nauczania był wyższy. Na tym nam nie zależało i tego nie potrafiliśmy jeszcze ocenić. Ale kilku naszych belfrów uczyło również dziewczęta w „Fiat Lux” i u Sióstr Nazaretanek. Stamtąd wnosili do nas jakieś niezwykle fluidy. Przez nich czuliśmy się bliżej naszym nie spełnionym marzeniom, naszym snom o niedostępnym kragłoscianach, zaludniających rozbudzoną i gorączkową wyobraźnię. W dodatku profesor od grecki podkochiwał się bez wzajemności w siostrze Rysia i zdawało się, że gdy przestępując z nogi na nogę deklamował homeryckie wiersze przed katedrą, przerywał gwałtownie, wsuwał lewą rękę do kieszeni, gmerał w niej przez chwilę, bacznie wpatrzywszy w kąt sali.

— Ty, Rrrrysiu, słuchaj — zaw sze, tak grasejował — powiedz twojej siostrze, że...

— Ze co, panie profesorze? — zerwał się przestraszony chłopak, rozgrywający w tym czasie szlępa pod ławką. Szykował się bowiem do mistrzostwa z klasą „b” w legach, za rzeka.

— A nic, ja tylko tak... — rękę wyjmował i lekka toczyła się dalej. Wiedzieliśmy, że Helka była z kolei zadurzona w polonistce, że z tego powodu rywale nie klaniali się sobie, a Rysiek „stał” dobrze z Homera, choć sprzedał „Iliadę” na straganie za parę groszy, aby pójść do kina na Polę Negri i Maksa Lindera, ale tylko na czwartą, bo później nie było wolno. Każdy z nas miał swój styl. Rysiek zerwał się na francuszczyznę, akcentując ostatnią głoskę w słowach „szablą” czy „reka”. Kiedy zaczęły się nam wysypywać wasy i raz na dwa tygodnie nie chodziliśmy do Bucypyski, naszego gadawego golbrody za „Bóg zapłać” albo pięć centów, i kiedy uwierala nas każda para spodni — wtedy z cicha pęk Mirek podniósł dwa palce na lekcji geografii u Tarnowskiego i spytał z najskromniejszą miną:

— Panie profesorze, co to znaczy: niech żyją obie półkule u wszystkich pań?

Tarnowskiego zatkało. Wsadził lewy wąż w puste miejsce po dwóch górnych siekaczach, przygryzł go, wybaluszył oczy i wycedził:

— O co ci chodzi?

— Bo nie wiem, jakie półkule, wschodnia i zachodnia, czy...

— Skąd ty durniu, do takiego pytania?

— To był toast na zjeździe geografów.

— Ładny mi zjazd naukowy. Wy noś się do domu. Przyjdiesz tu z obcem.

Z ostatniej ławki huknął basem Maszaniec:

— Jaki ojciec, taki syn.

Nawiasem powiedziawszy, Mirek był synem unickiego parocha. Na przerwie, przed następną godziną germanisty Orczyka, zalatwali sprawę między sobą. Tej samej narodowości, nie uważali za właściwe podawać się sądowi obcych. Tak się więc potłukli i tyle sobie nabili guzów, że przez kilka dni wcale się nie pokazali.

Trzeba oddać sprawiedliwość ówczesnym uczniakom, że nie nazbyt

wagarowali. W szkole bywało weselej, nie zarywającym lekcji łatwiej wybaczano nieuctwo przy klasifikacji, nie figurowali w dziennikach. Wyzywano się w gimnastyce, ćwiczeniach „wojskowych”, harcerstwie, podchodach na dziewczęta, no i w blazenadach. Byli dobrze zorganizowani i powierzane wyspecjalizowanym grupom.

Owadziarze wpuszczali do kalamarzy na katedrach chrząszcze, które wylazły z nich na otwarte katalogi mażąc atramentem kartki. Drumlarze wbijali w ławki szpilki, napinali je i zwalniali nadając im ruch drgający z brzęczeniem dużego trzmiela. Procarze wypuszczali papierowe strzały, krzyżujące się po całej sali. A kataryniarze... Ci byli n'e do zwalczenia. Pod jednym warunkiem — klasa musiała być na parterze. Pożądana była ciepła pora roku, ale i zimą przy ładnej pogodzie można było sobie od czasu do czasu pozwolić na taką frajdę, lecz nie u każdego nauczyciela.

Zbliżała się więc godzina niemieckiego, a z nią — zgodnie z tradycją — nieuchronna draka na grubsze parametry. Orczyk, stary kawaler, chodzący w lecie w ciężkim, półświatowym kapeluszu, zimą zaś w słomkowym carnotier a la Maurice Chevalier, miał jeszcze inne nawyki. Na wszelki wypadek nosił stałe laskę i parasol, tyle że podczas deszczu laska sterczała w górę, parasol zaś wisiał spokojnie na ramieniu. Nigdy nie schodził z podium. Stał na nim wznosząc się nad klasę, a spod nogawek wypływały białe tasiemki kalesonów. Był dobrym wykładowcą, duszą człowiekiem, dwój nie stawał. Może właśnie dlatego...

Był tylko tercjan Jaworski nie zadzwonił za wcześnie. Spieszcze się, spieszcze. Okna szeroko otworzyć. Powiemy Schillerowi (nazywaliśmy naszego germanistę od poety, którego „przerabialiśmy”) — tak, powiemy mu, że dla świeżego powietrza. No, zwiąć się, szybciej. Heniek, wiaż do szafy z tym patefonem, a co tam masz, Titina, ach Titina, czy Ordonkę? Tylko uważaj, oddychaj przez dziurkę od klucza, bo się udusisz. Muszyński wysoki, barczysty dryblas, z niesforną fryzurą na jeża, miał w klasie głos i posłuch. Rozstawiał watażków w punktach strategicznych. Czterech brzączków do osłej ławy, do przedostatniej czterech procarzy, a po dwóch za mapę i za szafę. I cisza, aż dam znak.

Jaworski zadzwonił po raz pierwszy. Było ciepło i słonecznie. Maj wpływał łagodnie i wonnie do surowych i chłodnych sal. Na boisku ugniaty się i potracali jeszcze w tumanach kurzu ostatnie grupy młodzików. Starsi śladali miejscach, dogryzając kanapki. Zaglądali gorączkowo do książek i zeszytów. Wtajemniczeni rzucali ukradkiem oczyma za okna. W ostatniej chwili stanął przed jednym z nich kataryniarz i ustawił swój instrument. Na długim łańcuszku trzepotała się pstra papuga. Ujął w dłoń korbę i czekał. Drugi dzwonek. Cisza, jak maknem siał, duszna i niepokojąca.

Orczyk otworzył drzwi, wszedł, zatrzymał się, jakby nie był pewny, gdzie się znajduje. Powstałiśmy z miejsc. Kazał usiąść, wszedł na podium, umoczył pióro w kalamarzu

pełnym gumi arabskiej i wpisał się do dziennika. Gdy zauważył rozległe kleksy, a był krótkowidzem, zaczął ogładać pod światło stalówkę. Oburzyl się.

— Was ist denn das?

Warchoły ryczały, inni pohukiwali jakimś dziwnym śmiechem ze strachu przed kulakami prowokatora, zaledwie kilku milczało. Wśród nich skrzypek Kuba i poeta Jarek, nasi klasowi artyści. Psor poczerwieniał tupnął z całej siły, zacisnął zęby, aż zgrzytnęło i podszedł na skraj wzniesienia. Trząśnięty całym, głowa mu drżała, ale nie wyrzekł ani słowa. Może się wreszcie uspo-

W tym momencie, w trakcie natchnionej recytacji, na ledwo dostrzegalny znak Muszyńskiego rozległo się głuche brzęczenie drumli, u przykrzone i narastające, jak od tuzinów końskich gzów tłukących się o szyby. Recytator przerwał i rozjeździł się wokoło. Znał już ten rodzaj kulturalnej manifestacji swoich wychowanków i to nie od dzisiaj. Poczerwieniał i uderzył pięścią w stół, aż karkafka podskoczyła.

— Ruhig doch!

Twarz miał purpurową, zaczął usta, kilka kropel śliny zawisło na szczeciastym wąsie. Drumle ucichły, przycisnęły się. Nie na długo. Znow zaczęło się na dobre. Jak na niewidoczną komendę zza okna zabuczała katarynka fałszując piskliwie i niemilosłernie „La donna e mobile”, z szafy zaś odezwał się gramofon wygrywając chrapliwie „Titina, ach, Titina”. Dobrze opłacony kataryniarz wysłał się, by było jak najgłośniej. Przekładał korbę z ręki do ręki, nie ustawał na chwilę. Na dokładkę przytupywał podkutym obcasem i spławał w fionie, a wylekniiona papuga na łańcuszku podlatywała w górę i opadała z powrotem. Powstał niesamowity harmider. Chłopcy rycieli z uciechy, a tumult nasilił się jeszcze, gdy wprowadzono do natarcia papierowe strzały, wyrzucane zewsząd z gumowych kapułat na szpilkach od włosów. Trafiano się nimi przy wtorze karczemnych okrzyków, strzelano w profesora stojącego na katedrze niemo i beznadnie. Biegano wokoło, niektórzy wskakiwali na ławki, inni zmywali gąbką tablicę. Tylko Kuba i Jarek siedzieli w miejscach ze spuszczonejmi głowami.

Repertuar się wyczerpał. Nie było możliwości ani czasu na nowe pomysły. Fala wrzasków i brewerii opadała. Zdawało się, że taktyka germanisty osiągnęła skutek, a zwycięzcy staną się pokonanymi. Burza rójła. Nieugięty belfer, niewzruszony jak dąb, błąd, z oczami przekrwionymi, patrzył bez słowa w jeden kąt. Dryblas grupkami powracały do ławek, młyn ich był niewyraźny. Ten i ów otwierał kaset czy kstażkę, podgarniał opadłe włosy, wycierał spoconą twarz. Oglądano się ukradkiem, co też powie wódz Muszyński, co nakaże robić aby urstować bojowy honor własny i kumpłów. I eez i on zapewne stracił rozeznanie, bo siedział przygaszony i wpatrywał się w jakiś punkt na podłodze.

Do końca lekcji pozostało jeszcze kilkanaście minut. Pozornie zapanował jakiś taki spokój. Jednakże nie odwołano jeszcze ilustracji muzycznej. Toteż kataryniarz wycinał na odmianę donośne hołubce, a z szafy dochodziła nieśmiertelna „Titina”. Wtedy i mimo to profesor podjął przerwana recytację. Nie minęło kilka sekund, a z miejsca zerwał się Muszyński i zakomenderował.

— Chłopaki, nie dajmy się!

Na ten sygnał odpowiedziano piekielną wrzawą. Jurek, Zbyszek, strzelajcie! Walć w ławki, jak w bęben! Drumlarze do roboty! W powietrzu śmigły papierowe strzały, książki, zeszyty, opakowane śniadania, kalamarze, pióra. A organki i patefon nie ustawały.

Nagle zaległa śmiertelna cisza. twarze skamieniały. Profesor wypuścił z ręki tomik i padł na podium.

ADAM ABDAŃSKI LEKCJA

koją, przecież nie są najgorsi, to tylko niewyżyta młodzież, ujęt ich cierpliwością i wyrozumieniem, trzeba stworzyć klimat dla arcydzieł ducha, nie kazać się prostactwem, oby tylko móc wytrzymać...

Uspokoilo się. Pan od niemieckiej literatury ochłonął. Twarz mu przybladła, wydawała się szczęśliwa osiągnięciem chwili, wyniesieniem się nad chamstwo i nadzieją bliskiego powrotu do czarownej magii słowa. Wziął w rękę tomik, potem ob'e wyciągnął przed siebie, może dlatego, aby je wyprostować, jak to czynią przed lotem ptaki. Fraza za frazą Schillerowskiego wiersza ręce Orczyka zdawały się wydłużać, przebijając mury, przenikać okna na ulicę Hosza, na plac Kościelny i dalej dalej, by objąć wszystkich i wszystko, by przegarnąć do siebie za władzenie młodzieży, za możność związania się z nią i wskazania jej, skąd ma czerpać na resztę życia...

Zdawało się — bez zycza. Zaś katarynka i patefon wciąż grały. Nastąpiła chwila grozy. Mucha wyskoczyła oknem na podwórze i wygonił grajka. Część uczniów rozpięzchła się po korytarzu i skryła w ubikacji. Kilku zabrało się do otwierania szafy, ale jak na złość kluczy się gdzieś zapodział. Pukali w drzwi szafy i krzyčili: „Dość tego grania. Wytaż!” Odszukali klucz i uwolnili więźnia. Tymczasem Kuba i Jarek, skrzypek i poeta, pomiatani przez mafie, kleczeli przy profesorze, skrapiali mu twarz wodą, rozpieli kołnier. Gdy oprzytomiał, pocałowali go w rękę.

— Proszę nie gniewać się na nas. Bardzo za tamtych przepraszamy. Nie zasługują nawet na wzgardę.

Pedagog podniósł się, uporządkował ubranie. Dzwonek. Koniec lekcji. Orczyk szepnął:

— Nie nikomu nie mówcie.

Ci, co jeszcze nie zdolali się ulotnić, biegli do drzwi, by jak najprędzej się wymknąć. Przeczuła ich nie myliło, bo wyjście odcięte już zostało przez ogromne cielsko cyrektora. Głową sięgał poprzeczki framugi, wypełniał ją całym sobą. Twarz miał tłusta, nalana, przelewającą się zgnad kołnierza, a w niej nieforemny, kartoflowaty nochal i „małe, świńskie oczka. Przed nim trzęsący się kaidun na szepułych, tyczkowatych nogach. Kilkanaście włosków na świecącej, iyszej pale. Nieomal wszystkie ściany były pełne shtubackich napisów: „Kralka, jak lalka, z fioletowym noskiem, śmierdzi cebulą i czosnkiem”. Jaworski zamałowywał je codziennie, lecz nazajutrz pojawiały się znowu. Była w tym metoda, podziemna, uparta walka „nad” z „pod”, nieunikniona, lecz prowadzona bezmyślnie przez młodych, zaledwie formowanych w szeregi społeczne.

Stanął więc Kralka — bo tak się nazywał dyrektor — w drzwiach, powiódł oczyma po klasie.

— Co tu się dzieje?

Orczyk kończył właśnie otrzępywać spodnie, poprawił krawat i wyjął:

— Nic, panie dyrektorze, skończyłem lekcję.

Dyr chrząknął. Podrapał się lewym wskazicielem po obwisłym policzku, a palcami przykuconej prawicy po prawym boku (zapełnionym jak macaeus rhesus w zoo), bo taki miał zwyczaj, gdy był zdenerwowany. Dolną pięścią wargę wywinęła się i zabelkotał:

— Mówi pan, że nic, panie profesorze? Wiem wszystko. A katarynka, to nie? A wycia na wykładzie, też nie? Proszę na górę, do kancelarii, tam porozmawiamy.

Zwrócił się do niedobitków:

— A wy do domu. Powiedziecie kolegom, że przez cztery niedziele, tuż po nabożeństwie i egzorcjach, posiedzenie w szkole do obiadu i za karę przepiszecie po sto razy: „Więcej nie będę halasował na lekcjach niemieckiego”. Już ja was oduczę.

Odtąd Orczyk u nas nie wykladał. Przyszedł ktoś inny, kto umiał sobie z nami radzić.

Fragment powieści.

ANNA KIESEWETTER

DIALOGUS DE PASSIONE

Już nie zgaduję, kiedy mnie zatrzymał kołowrót czasu ciągnięty przez woły skrzyplącym wozem pełnym kłosań żyta, które i kwitnie i ziarno wydaje pomiędzy polem a drzewiami stodoły. Tylko ci wszyscy, których pokochałem, wciąż gdzieś odchodzą i tak w ludzi tłumie twarze się stają coraz bardziej obce i coraz dalsze... aż ich nie rozumiem. Lecz wierność każe wciąż odwracać głowę, choć już tak rzadkie pole mną zasiane. Czekam na pustkę na słonecznej drodze, gdy kolejną wytarła przez koła wozy nieśpieszne nadjadą na pola od nowa żyzne, znowu oczekujące.

TEATR OGROMNY

Gdzie jest ta scena? Ponad desek fale, co ku widowni wyciąga jak ręce prośbą skalane, o przymierze słowa z istnieniem rzeczy żywej i myślącej? Gdzie jest ten teatr, który je uniesie nad dźwięki, nad skowyt wiatru w pustej sali? Od wyzwolenia ku życiu bez cierpień, a może właśnie od szczytów cierpienia? Bezgłośnie maski na twarzach przybrane, kokardy pierśi zdobną bez oddechu... Ja was ubiorę w życie, które wami zagra, jak taktę zakłętę fletu. I fale żywe porwą was w swój taniec ku źródłom, gdzie wszystko jeszcze nie nazwane.

TEATR MAŁY

O, zmniejszy swą postać prawie do ziarenka i w serce jętki wrosnąć, w małą bijącą świeżością drobiną w postać kukielki... W dziurkę od klucza zmienić wielki teatr i tuż przy twarzach dumnych spektatorów szeptać im w uszy najpiękniejsze wiersze, co prawdą są i nie zarraną rolę. Drewnianą rękę wyciągnąć ku górze i ująć w palce sztywne końce nitki, aby roztańczyć własną nieruchomość pomiędzy światem rzeczy, a bajkowym mitem.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

IRA ALDRIDGE

Dość, że nad Łódkę zawędrował, Tam na teatrze występował, Tam zmarł na jakiejś zapalenie Z dala od Afryki — macierzy I na cmentarzu łódzkim leży.

(KWIAŁY POLSKIE, J. Tuwim)

Pośród serc na ostrzach damasceńskiej stali, wrony jak plakaty rodem z Grand Guignola szukają schronienia... Ziemia pachnie łądem dalekim, nie znanym: stamtąd noc nadchodzi, szarpie mokry namlot zmęczonego zmierzchu I pisze pamiętnik nie spełnionych marzeń, Patrzysz na mnie okiem Maura z Wenecji, który po podróży przez cypryjskie morze

zawinał do portu łódzkiego ementarza... W Twojej dłoni rulon z tekstem nowej roli, a może atrapa miłostnego listu ze starego kufra wędrowniej komedii? Barbarzyńcy skradli kiedyś Twój konterfekt może z uwielbienia, a prędzej z głupoty tak jak ten dowiecniś, co przy Twym imieniu głosi wszem i wobec, że pokochał Irkę!

Na trawy marcowe deszcz zaczyna padać, słychać krzyk dozorczy: zamykają bramy. Zegnaj mój Otello, odechodź z ementarza... A resztę dopowiem, gdy znowu się spotkamy.

KWIATEK DLA TYBALTA

Jak nam donoszą z Werony, wczoraj w godzinach wieczornych sgnął w pojedynku z Romeem Tybalt, kuzyn Capulettich...

A może się kochał w dziewczynie z przedmieścia, A może miał podłych teściową i teścia, A może dzieciństwo i młodość miał trudną, A może miał żonę niewierną, obłudną... A może, a może... Sam nie wiem dlaczego; Możliwe, że brakło mu grosza przed pierwszym, A może po prostu, a może dlatego. Ze inny na pamięć piękniejsze znał wiersze!? Leży, do pierśi czerwony kwiat tuli, Skulony, zziębnięty jak zima bez palta; Wszyscy żalują Romea i Julii, Lecz nikt nie żałuje biednego Tybaltu... A może dopiekły mu swary codzienne, A może prowincji rozkosze niezmiennie, A może otrzymał dymisię ze dworu... A może, a może... Są inne przyczyny, Możliwe, że kolej wypadków jest nie ta; I może to wcale nie wina rodziny, A wszystko wymyślił raz pewien poeta!?

KSIĄŻKA

Książka Kazimierza Karabasa pt. „Ciepłe oko” jest wśród ektur na tematy filmowe wydarzeniem niezwykłym i — na gruncie polskim — bezprecedensowym. Precedens i niezwykłość tej niewielkiej książeczki polega na tym, że polski reżyser filmowy, znakomity dokumentalista odłożył na chwilę kamerę filmową po to, aby spisać refleksje na temat swojej pracy, podzielić się doświadczeniem, zarysować własny program artystyczny, sformułować garść uogólnień wyrastających z realizatorskiej praktyki. Ale nie tylko wyrażająca z doświadczenia impreza teoretyczna jest tworzywem tej książki.

W zakończeniu autor pisze: „Im dłużej w tym zawodzie pracuję tym częściej dostrzegam, że zadowolenia i pewnego poczucia sensu tego zajęcia dostarcza mi nie sam film, który realizuję — ale droga, która

świeca swoje najbardziej interesujące filmy jest najtrudniejszą formą ekranowej wypowiedzi. Jego istota polega na tym, co najtrafniej ujął Robert Flaherty, reżyser nazywany „ojcem filmu dokumentalnego”: „Posługuje się tylko osobami realnymi, rzeczywistymi i ludźmi, którzy żyją w miejscu, gdzie nakręcam film. Ziarno wielkości istnieje we wszystkich — autor filmu musi je znaleźć. Musi znaleźć jakąś szczególną sytuację, a czasem jakiś gest, żeby to odkryć.” Karabas zresztą wymienia Flaherty’ego wśród protagonistów swojej metody dochodzenia do prawdy. Jednakże Flaherty nie cofał się w swoich klasycznych filmach przed elementami inscenizacji, przed rekonstrukcją sytuacji, która zdarzyła się naprawdę, lecz nie została zanotowana w porę, in statu nascendi. Jest to zresztą technika we współczesnym dokumencie dość często sto-

**PRZYPOMNIENIE
O SKUZIE**

Jakie były przed wojną wieczory autorskie? Oto jedno ze spotkań, które opisał poeta chłopski Wojciech Skuza w *Wiciach* w roku 1937. *Gdzieś w jesieni zaprosiła Szkoła Rolnicza — Wiktora, Młodożeńca, Burka i Skuzę na wieczór autorski do Dąbrowy Zduńskiej, w Łowickie. Słuchaczki szkoły przystawiały na ten wieczór parę pieśni, inscenizacji z książki Wiktora Orka na ugorze — a wreszcie przygotowały własne serca i ducha, by od samych tych, których słyszą tylko przez książkę i gazetę — usłyszeć słowo żywe. Dziwny a piękny to był wieczór czuły się, jak między pisarzami a wsią nawiązuje się bezpośrednio nie przyjaźni, bliskości, jak zaspębiają się uczucia i myśli, jak dzielą się sercem i pieśnią. Na wieczór ten przybyli starzy i młodzi, chłopcy, kobiety i dziewczęta z całej okolicy. Nie mogła już wszystkich szczupła sala pomieścić — wiele ludzi przagnęło być na tej uczcie duchowej kultury wiejskiej.*

Tam, właśnie, w Dąbrowie Zduńskiej, zrodziła się myśl praktyczna: trza więcej takich wieczorków urządzić po wsiach. Istnieje potrzeba tego, bo ludzie idą, bo przychodzą i słuchają, mówią i nabierają wiary we własną wartość, cieszą się, radują, że — oto ich słowami mówi się piękne rzeczy. Przeżywają rozkosz żywego słowa, a każde przeczytanie jest najsilniejszym bodźcem do czynu, do działania.

To było zebranie, jakbyśmy to dzisiaj określili, udane. Zawierało te elementy, których poszukujemy, chcąc znaleźć model dobrego, przynoszącego korzyści spotkania pisarza z czytelnikami. Była świetna organizacja, przygotowanie słuchaczy, ich zainteresowanie, i przede wszystkim to, co autor cytowanej wypowiedzi szczególnie podkreśla, serce. Na jednym spotkaniu się nie skończyło, bo Tpwaryzstwo Uniwersytetów Ludowych w Łowiczu zaprosiło wkrótce do Łowicza Młodożeńca, Burka, Trojana i Skuzę. Był z nimi człowiek, którego imię, jak pisał Skuza, słynęło już po całym świecie, mianowicie Stefan Jaracz. Skuza się zwierzał: *Niezapomniane to będą chwile tam spędzone, w Domu Ludowym w Łowiczu. Do wypełnionej po brzegi sali chłopstwem Łowickim, do sali płonącej kolorami łowickich pasiaków, wśród których w pierwszych rzędach siedział marszałek Rataj (...) kolega Młodożeniec uderzył w ton chłopski. Polska musi schłabić! Burza jednak powstała na sali, gdy oto — ze sceny zaczęły padać mocne, silne słowa mistrza słów, Jaracza. Przeczytał on fragment powieści Reymonta „Chłopi”. Scena chłopów idących w las, broniących swych praw, walczących w gromadzie — ożyła na sali. Zdawało się, że oto krzyk jakiś ogromny niesie się w całej Polsce: nie damy chłopskich lasów. Potężne było wrazenie tych słów i potężne przeczytanie. Czytałem i ja dwa wiersze, czytał Burek opowiadanie z „Drogi przez wieś”, recytował Trojan wiersze Młodożeńca, ale już ponad wszystkim górował ton Reymonta: Nie dać swojego lasu. Bronić kultury, nie pozwolić paprać polskiej kulturze tandetą (...) zaciągnąć ludową sztuką na polskiej kulturze.*

Należy pamiętać, w jakich czasach i okolicznościach i w jakim klimacie politycznym odbywały się te spotkania. Ze były to lata walk i strajków chłopskich, że chłopcy upominali się o swoje prawa. Na liście chłopów i działaczy ludowych, skazanych wyrokami sądów za udział w strajku w 1937 roku, a więc w tym samym, o którym pisze Skuza, znajdują się nazwiska z całej Polski. Lista dotyczy jedynie tych, na których wyroki były opublikowane w prasie ludowej. Zawiera ona 617 nazwisk, w tym z Łódzkiego 33. Kroniki tamtych lat wymieniają wiele przykładów zawieranej przyjaźni pomiędzy chłopami i robotnikami. W roku 1932, kiedy w piotrkowskiej *Hortensji* wybuchł strajk okupacyjny, na pomoc robotnikom pospieszyli także i chłopcy. *Przez cały dzień wjeżdżały do huty furmanki załadowane chlebem, kartoflami... Dużo artykułów spożywczych dostarczyło biedne chłopstwo, chcąc tym zaznaczyć swój współudział w strajku.*

Nie więc dziwnego, że każde słowo, które docierało na wieś, budzące nadzieje, było przyjmowane serdecznie. Tym bardziej, że to słowo pochodziło od pisarza, wywodzącego się z wsi. Ciekawie wychodzi ona z gromad wiejskich jako prymityw, jako prosta śpiewka, prymitywna rzeźba, obraz czy nuta, a skoordynowana, przepracowana przez techników świadomych, przez twórców sztuki — wraca znów na wieś, jako nowy głos. Oto niby słyszy się te same słowa, które na co dzień są w użyciu, a przecież mówi się nimi nowe, piękne rzeczy.

Wypowiedzi Skuzy wybrałem z książki, która niemal w tych dniach ujrzała światło dzienne. Jest to wybór poezji i prozy Wojciecha Skuzy, dokonany przez Józefa Binczaka. Binczak ogłaszał wiersze w *Wiciach, Młodej Myśli Ludowej*. Miał pseudonim Bolesław Słowiński. W czasie wojny redagował pismo konspiracyjne *Chłopski Sygnał*. Autorem opracowania graficznego jest

Marian Murawski. Wymieniam nazwisko grafika, gdyż jest to rzecz pięknie opracowana i wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.

Książka ukazuje się w 70 rocznicę urodzin autora Kumaca oraz w 50 rocznicę powstania wicowej organizacji. Skuza należy do rodziny poetów i pisarzy Kieleccy. Urodził się w Lubnicach. Jest to wioska leżąca niedaleko Pacanowa i Polanica. Zmarł w czasie wojny, w 1942 roku, w Teheranie. Józef Binczak nazywa Skuzę poetą polskiej wsi, a równocześnie poetą patriotą i wreszcie poetą pracy. A więc: poetą społecznym. A poezja społeczna (komentuje Binczak) rzadko kiedy cieszy się powodzeniem u krytyków. *Krytycy bowiem uważają taką poezję za mniej wartościową, albo wręcz — jako nie-poezję. Chyba, że ktoś przebojem bądź w więcej sprzyjających okolicznościach wejdzie do literatury, zdobywając poklask czytelników, wedy i krytycy — choć nie chcąc zacytować poetę społecznego i tolerować — o dziwo! — nawet temperament rewolucyjny.* Chłopski poeta Skuza był i nadal bywa przemilczany, nie znajduje miejsca stosownego jego randze w polskiej literaturze. Ale też i Skuza nie dbał wiele o opinię o dostojnych i rozgrymaszonych krytyków; wystarczyło mu uznanie przede wszystkim młodzieży wiejskiej, jednym słowem — cieszył się, że ludzium jest potrzebny.

Skuza wszedł pod strzechy, a raczej — nie wszedł, jeno — spod strzech nie uciekł; jego wiersze i poematy recytowano, śpiewano, inscenizowano po wsiach, jak wpadło — i w niskich chałupach, i w stodółkach — dosłownie krytych strzechy, najczęściej na podwyższeniach ułożonych z desek bądź z later i pomostów od wozów.

Wies polska jest jak las (pisał Skuza). *Gdy człowiek patrzy na las z daleka, wydaje mu się on mały i prosty: ot, linia, pas drzew, a ponad ciemną smugą lasu mgły. Im dalej jednak w las — tym więcej drzew. Im głębiej człowiek wchodzi w wewnętrzne życie każdej wsi — tym więcej widzi bogactwo myśli, czynów, spraw i zagadnień. Niestety, dotąd jednak patrzone na wieś z zewnątrz (...). Dlatego w książkach i w dziennikach czytaliśmy wciąż o wsi jako o dekadencji, pokazywano nam wierzch, pasialki, pawie pióra, brzękadła i podkółki. Oglądano wieś z daleka, dlatego wydawała się ona mała i prosta, jak las.*

Myślę, że dobrze się stało, że Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała książkę, która nosi tytuł *Wociach Skuzy*. Zarówno w poezji i fragmentach prozy Skuzy, jak i we wstępie i przypisach o pisarzach, których nazwiska pojawiają się w książce, możemy znaleźć wiele myśli i refleksji potrzebnej i dzisiaj.

TADEUSZ PAPIER

„W DRODZE KU PRAWDZIE”

przebywam, by go zrobić. A więc to wszystko co widzę i słyszę, co przeżywam przed i podczas realizacji.” Otóż właśnie to nastawienie na proces twórczy, a nie na gotowe dzieło (notabene jest to jedna z najbardziej uderzających cech sztuki współczesnej) podpowiedziało Karabasowi oryginalną formę tej książki. W swoim zasadniczym trzonie jest ona zapisem 8-miesięcznego procesu realizacji zdjęć do filmu pt. „Przenikanie”, który jest historią jednego roku akademickiego dwóch wiejskich dziewcząt, studentek i roku warszawskiej Akademii Rolniczej. Każdy z rozdziałów zatytułowanych nazwami upływających miesięcy rozpada się na trzy części: zapis zmieniających się sytuacji na planie, dialogi z bohaterkami prowadzone przez reżysera nie tylko dla potrzeb filmu, ale również poza obrazem, i wreszcie refleksje nad poszczególnymi elementami filmu dokumentalnego — jednostkowym bohaterem, psychologicznymi i technicznymi trudnościami procesu zdjęciowego, poznawczymi i ekspresyjnymi funkcjami „pejzażu ludzkiej twarzy” i słowa, zagadnieniami roli montażu w tym rodzaju filmowej wypowiedzi, istotą dokumentalnej narracji, wreszcie — problemem „najistotniejszy — pojęciem prawdy w filmowym dokumencie.

Dzięki takiej kompozycji udało się autorowi w skrótej formie zawrzeć bardzo wiele inspirujących treści. Dla tych, którzy filmu nie widzieli (kto widział?) zapis realizacji daje wyobrażenie o temacie tego utworu, temacie niesłychanie istotnym dla uświadomienia istoty przemian społecznych w naszym kraju. Chodzi bowiem o pokazanie nie tylko adaptacji w stoletcznym mieście, na wyższej uczelni dwóch dziewczyn z głuchej prowincji „gdzie dąbł mówi dobranoc” (tytuł debiutanckiego filmu Karabasa z 1956 r.), ale również wyrastania nowej inteligencji „pochodzenia chłopskiego”. Jednakże temat ten nie jest zilustrowany metodą statystyczną, zaletowy schematycznym obrazem czy odciążony stereotypowym komentarzem, czym na co dzień karmi nas TV. Temat ten rodzi się drogą cierpliwego obserwacji, wyrasta z indywidualnego losu, jest rezultatem ogromnej intuicji artystycznej i wnikliwego badania rzeczywistości przed kamerą.

Portret psychologiczny, filmowy gatunek dokumentalny, któremu Karabas od przeszło dziesięciu lat po-

sowana. Dotykamy w tym miejscu szczególnie neorealizmu punktu w systemie warsztatowym Karabasa. „Ciepłe oko” jest syntetyczną wykładnią poglądów realizatora, któremu nie tak dawno, u progu lat 70-tych młodzi reżyserzy, których był mistrzem jako wieletni wykładowca w łódzkiej szkole wtykali skodolliwy puryzm, dogmatyzm i doktrynerstwo. Karabas i jego styl dokumentu, który był własnością całej szerokiej szkoły polskiego filmu dokumentalnego przełomu lat 50-tych i 60-tych stał się symbolicznym obiektem ataku ze strony nowej generacji, która traktowała materię dokumentalną jako źródło eksperymentów wyrazowych, formalnych, gwałcił obiektywizm dokumentalnego obrazu w imię z góry narzuconych założeń. Areną gwałtownych polemik, w których zresztą Karabas nie uczestniczył były krakowskie festiwale. Po latach okazało się, że dla „młodych gniewnych” krótkometrażowy film dokumentalny był jedynie stacją przesiadkową do fabuły, miejscem, gdzie temperowali swój warsztat.

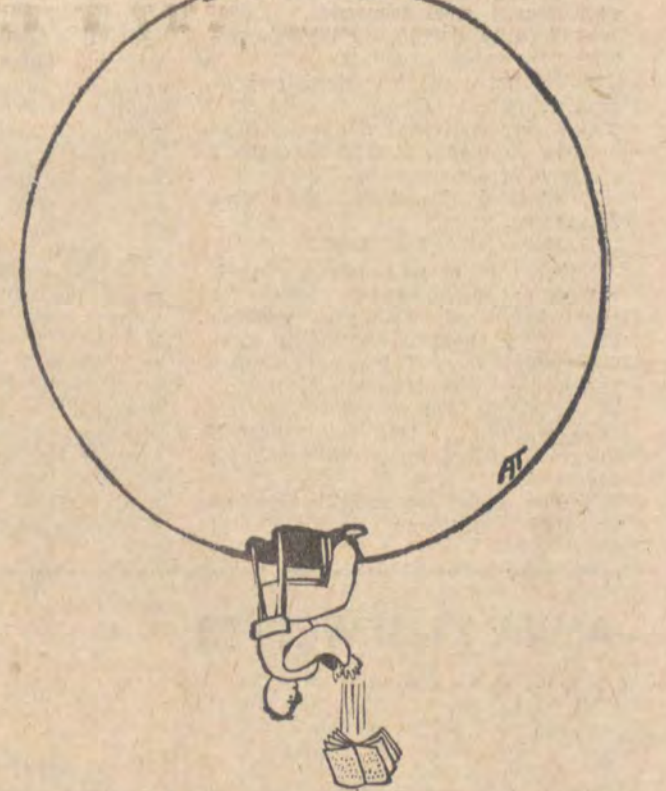
Wydaje mi się, że książka Karabasa dopisuje po latach do tego sporu istotny komentarz. Jest ona przede wszystkim demontacją „wiary w rzeczywistość”, przykładem pokory wobec znaczeń, które nieście. Karabas zdecydowanie odrzuca te zabiegi, które deformują odczytanie prawdy, prawdy nieustannie zagrożonej — jak pisze — „naciśnięciem narzędzi”. Bowiem zbyt daleko nosnietta interwencja w filmowaną rzeczywistość, bądź też podporządkowanie naturalnych jej przebiegów założonym apriorycznie tezom i szczyt istotę dokumentalnej twórczości.

Szlachetna i mądra książeczka Karabasa wydaje się być głosem idealisty na „targowisku próżności” — głosem dochodzącym z powoli zapomnianego archipelagu. „Dokąd pójdzie kino dokumentalne” — zapytuje autor na ostatnich stronicach. Właśnie dokąd pójdzie wśród bełkotu telewizyjnych obrazów, gdzie panuje prawo wyperania lepszych pieniędzy przez gorsze dla lepszych.

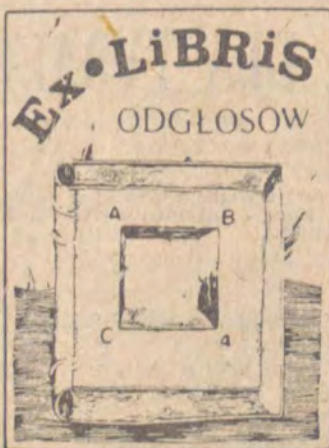
TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Kazimierz Karabas, „Ciepłe oko”, Warszawa 1979.

LITERATURA NA ŚWIECIE



Rys. Andrzej Tyliczyński



Dla turystów

Lato — jak do tej pory — mamy piękne, dobrze zapowiadają się urlopy. Zaludnia się trasy turystyczne i ludzie zaczęli zaglądać do księgarń w poszukiwaniu przewodników. A z tym nie jest najlepiej, jak w ogóle ostatnio z książkami. Coś jednak można znaleźć, szczególnie w małych księgarńkach w małych miastach. Radzimy więc wszystkim wybierającym się za granicę na urlop, a chcących spędzić go w sposób świadomy i planowany, aby w trakcie wyożwy po kraju szukali potrzebnych im przewod-

chodnim sąsiedzie, tym bardziej, że się tam wybieramy z wizytą. Jest więc o ustroju, terytorium NRD, ludzie i herbie, kulturze i narodzie u krańcach i przydrożu, a także jest — to bardzo ważne — wykaz ważniejszych skrótowni używanych w NRD. Przewodnika wprawdzie recenzja nie zastąpi, ale warto mieć przy-

- Bar — oznacza lokal nocny z dancielem,
- Bf — Bahnhoff czyli dworzec kolejowy,
- F — szosę główną dalekiego ruchu,
- FKK — ruch turystyczny,
- I — stacje benzynowa,
- PA — urząd pocztowy...

Dział zatytułowany „Informacje praktyczne” nosi zastrzeżenie autorów, że zawarta informacja aktualna do 1 stycznia 1978 roku, kiedy to przewodnik po NRD został złożony w drukarni (jak z tego widać drukował się cały rok, trochę to długo, ale to już inna sprawa). Czytelnika bardziej będzie interesować, co też zawiera ten dział przewodnika. Są tu więc podstawowe dane niezbędne każdemu turystyce: jakie trzeba mieć z sobą dokumenty, wybierając się do NRD, jakie obowiązują przepisy celne (stan na 1 stycznia 1978 roku, ale zmiany w przepisach wprowadzili ostatnio przede wszystkim Węgry) i to głównie interesuje turystów idących się na południe Europy), gdzie przebiega granice do NRD, jaka jest w NRD komunikacja wewnętrzna (ze Łodzi i tam drugie i hotele również, co jest i gdzie, kiedy pracują najważniejsze urzędy, kiedy w NRD są święta, że w wolne soboty prawie nie można kupić, a także ważne adresy, które mogą się przydać każdemu turysty w NRD, na przykład adres i telefon ambasady polskiej w Berlinie: Berlin 108, Unter den Linden 72 tel. 23 55 51, adresy konsulatów w Lipsku i Rostoku innych polskich placówek w NRD.

Świadomy turysta, który nie jedzie za granicę, aby „zahandlować”, ale aby coś zobaczyć, zrobić ładne zdjęcia, coś przeżyć i wzbogacić swoją wiedzę o świecie, taki turysta musi posługiwać się przewodnikiem, gdyż inaczej będzie bezradny i może przeoczyć wiele interesujących zabytków i współczesnych budowli oraz instytucji przeznaczonych właśnie dla turystów. Oczywiście jadący do NRD przede wszystkim kierują się do Berlina. Siad też przewod-

nik po NRD wiele uwagi poświęca trasom dojazdowym, sugerując turystom, co warto zobaczyć po drodze.

I wreszcie sam Berlin. Przewodnik zawiera możliwie maksymalną ilość informacji o stolicy NRD. Są więc wiadomości historyczne, aktualne, wiele niezbędnych adresów, wykaz ciekawych zabytków, muzeów, teatrów, wykaz restauracji hoteli i domów noclegowych, teatrów oraz tras dla wycieczek w okolicie Berlina. Jest także wykaz nazwisk zasłużonych Polaków, którzy kiedyś w Berlinie mieszkali. Wspomina więc przewodnik o Teodorze Lundenieckim, który dokorował wnętrza zamku berlińskiego, Danichu Chodowieckim, który ilustrował książki między innymi Goethego, Schillera, Wielandta. Wspomina przewodnik o Julianie Falacie, Stanisławie Przybyszewskim, Julianie Marchlewskim, Arturze Robinstelnie, Janie Kleunze i Poli Negri. Szado, ale tylko że nie wspomina o Aleksandrze Brücknerze, który był profesorem uniwersytetu w Berlinie do 1921 roku, mieszkał w Berlinie do 1939 roku, a więc do swojej śmierci, a którego wkład w rozwój kultury polskiej i sławistyki w ogóle jest ogromny. On to przecież odkrył słynne „Kazania świętokrzyskie”.

Wszakże Wioażowania po NRD nie można ograniczyć tylko do samego Berlina i okolic. Dlatego też przewodnik podaje trzy ciekawsze trasy widzące z Berlina, między nimi do Dreżna, które to miasto trzeba zobaczyć, a już szczególnie Galerie Dreżdenskiej, do Karl-Marx-Stadt, Lipska i wielu innych atrakcyjnych miejscowości, o których na ogół mało wieśmy, a które warto zwizdzać, wędrując po NRD. Każdy, kto w czasie urlopu wybiera się do NRD znajdzie w przewodniku jakąś „opozycję dla siebie. Oby tylko przedtem znalazł przewodnik w którejś z polskich księgarń. Być może istnieją mu będzie dostać taki przewodnik w którymś z polskich ośrodków informacji i kultury w NRD (sa dwa; w Berlinie i Lipsku), ale tego nie gwarantujemy, ani polecamy.

M. R.

Alfred Górny, Zbigniew Kulczycki — „Przewodnik po Niemieckiej Republice Demokratycznej”, „Sport i Turystyka”, Warszawa 1978, str. 220, cena zł 80—

Z księgarskich witryn uśmiecha się do nas sympatyczna twarz Jana Kobuszewskiego, zachęcająca do kupna nowego dzieła współczesnej literatury pt. „Dobranocka dla dorosłych”, książki, której drugie wydanie aktualnie się ukazuje w nakładzie 40 tysięcy egzemplarzy.

Książka ta dokumentuje pewne — irytujące — zjawisko. Otóż z podziwu godnym uporem niektórzy autorzy wspomniani przez wydawnictwa, próbują przekładać na zapis literacki utwory powstałe w zupełnie innym celu. Mogły nas, oczywiście, bawić parominutowe skecze „Dobranocki”, ale w formie książki jest to rzecz niestrawna i dość płytka.

Podobne praktyki są coraz częstsze. Jest dla mnie zdumiewające, że doświadczeni i utalentowani autorzy nie czują bezsensu takich poronionych przekładów. Znakomity, nieco surrealistyczny serial radiowy Jacka Janczarskiego „Kocham pana, panie Sulku” był świetną zabawą w radiu. Zrobiono z tego książkę i sporo wdziałku owego utworu roztopiło się w farbie drukarskiej. Potem zrobiono rzecz jeszcze gorszą — radiowy skecz o panu Sulku i pani Elizie, przełożono na widowsko telewizyjne, mordując bez reszty cały wdzięk owej zabawnej historii.

Oczywiście można by machnąć ręką na niewczesne pomysły autorów i wydawców marnujących papier na trzeciorzędnej literaturkę. Można by machnąć ręką, gdybyśmy tego papieru mieli dosyć na literaturę z prawdziwego zdarzenia. Ale oba wydania „Dobranocki” ukazują się w łącznym nakładzie bodaj 80 tysięcy egzemplarzy w chwili gdy „Rok 1918” prof. Włodzimierza Kowalskiego ukazuje się w nakładzie o połowę niższym. Jedynie co w tej sytuacji cieszy, to fakt, że „Dobranocka” leży w księgarniach, a

książka prof. Kowalskiego jest wciąż poszukiwana i osiąga wysokie ceny na antykwarycznych giełdach. Mała to pociecha, choć zjawisko świadczy o wciąż rosnącym poziomie wymagań polskiego rynku czytelniczego.

Oslawiona i powszechnie wykłona bzdura o redaktorze Maju — przełożona na osiem książeczek w nakładach po 100

PRZEKŁADY NA GORSZE

tysięcy egzemplarzy każda — leżała wzdłuża nawet na kiermaszach, gdzie ludzie w psychozje zakupów brali dosłownie wszystko.

A w ogóle trzeba ostrożnie z przekładami na inne rodzaje i gatunki. Kiedy Paul Cazin przetłumaczył „Pana Tadeusza”... prozą, dziwili się francuscy czytelnicy, czema Polacy zachwycają się taką nudną powieścią. Oczywiście — to była przede wszystkim sprawa przekładu na inny język, ale myślę, że bardzo poważnie zaszkodził tu mickiewiczowskiemu dziełu przekład na inny rodzaj — na prozę.

Czy to znaczy, że jestem w ogóle przeciwnikiem wydawania drukami utworów przeznaczonych dla sceny czy filmu? Skądże znowu! — byliby to przecież nonsens. I nie chodzi mi wyłącznie o rangę

dziel — o to, że na przykład sztuki Mrożka warto wydawać, a „Dobranocki” nie warto, bo to tylko skecze...

Warto wydawać także skecze, ale muszą to być utwory, które coś znaczą, które — nawet jeśli są blache — stanowią jakiś istotny zapis naszego czasu, są jakimś literackim, czy choćby paraliterackim dokumentem.

Monologi Leona Wyrwicza — oprócz tego, że są nieodparcie śmieszne — stanowią jakiś zapis obyczaju, języka, poczucia humoru. I na pewno warto je dziś wydać. Dialogi Goldberga i Rapaporta (choćby słynny „Sek”) też są zapisem jakiejś, nie istniejącej już, atmosfery, problemów, obyczajowości, języka.

Mam akurat pod ręką wybór skeczy Jarosława Abramowa „Co pan zgłasza?”. Autor — dziś znany dramaturg — przypomina w układzie chronologicznym (to ważne!) swoje estradowe utwory pisane na przestrzeni dwudziestu lat. Jakaż to wspaniała i pouczająca książka! A dlatego, że cały ten zbiór — blahych przecież — utworów nie da się wyrwać z historycznego kontekstu. Książka Abramowa jest ilustracją zjawisk, przemian, fascynacji — jest historią widzianą poprzez scenki studenckich teatrzyków lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych...

Taki przykład — z estrady na zapis książkowy — ma na pewno sens. Na taki zapis nie szkoda papieru, bowiem poszerza on naszą wiedzę o świecie. Szkoda go natomiast na dyrdymalki o Maju i na słahtuickie scenariusze, z których autorzy przy pomocy wydawców robią jeszcze słabsze książki.

WIDOK

ANTONI SZRAM



Odkąd wszedł na burżujskie sale, Nie zabytki mu w głowie, lecz bale.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

KIBIC, JAKI JEST?

Mam pewne wątpliwości, czy ktokolwiek potrafiłby odpowiedzieć na pytanie: jaki jest nasz kibic sportowy? Odpowiedź: różny — niestety nie załatwia i właściwie żadna to odpowiedź. Już formułując pytanie na temat kibica, zakłada się milcząco, że jest on różny i właśnie szukając odpowiedzi, chciałobyśmy wiedzieć jakie to są różnice. W pisaniu o sporcie używa się przy słowie kibic wielu przymiotników. Najwyżej ceniący jest przymiotnik „świadomy”. Świadomy kibic — to arystokracja kibicowska, to taki kibic, który wie, na czym polega dana dyscyplina, zna regulamin, jakim się kieruje, zna zasady gry, wie kiedy zawodnicy grają fair, a kiedy faulują, oszukują i inarkują. Potrafi dyskutować o sporcie, zna jego blaski i ciemne, czyta „Przegląd Sportowy”, a niekiedy „Sportowca”. Ale świadomy kibic — jak wykazuje praktyka — jest mało.

Są również kibice żywiołowi. Ulegają oni nastrojom stadionu, wybaczą wszystko swoim ulubieńcom z wyjątkiem przegranej. Wtedy — a groźni, szukają winnego kłeski i raz ich gniew może obrócić się przeciwko zespołowi przeciwnika, innym razem winnym okaże się sędzia, a jeszcze innym razem własna drużyna. Czasem potrafią poturkować kibiców strony przeciwnej, czasem samochodów wyrwać i szyny powybijają w okolicznych sklepach. Kibice żywiołowi są bardzo groźni, a już szczególnie, kiedy połączą swoje siły z chuliganerią szukającą draki za wszelką cenę.

Tak właśnie było 17 czerwca 1979 roku w Gdańsku, kiedy piłkarze gdańskiego Bałtyku walczyli o wejście do I ligi z bydgoskim Zawiszą. Piłkarze Bałtyku nie potrafili przez całe 90 minut strzelić zwycięskiej bramki, a remis dawał awans do I ligi piłkarzom Zawiszy. W zasadzie gniew tłumy powinien obrócić się przeciw gdańszczanom, którzy wykazali wprawdzie maksimum dobrej woli i ambicji, ale obok tego ujawnili braki w wyszkoleniu i pełną niemiejomość skutecznego zakończenia akcji pod bramką przeciwnika. Przecież mnie tylko nie zrozumieć, że namawiam kibiców Bałtyku do fizycznej rozprawy z ich ulubieńcami, niech mnie ręka boska broni przed posądzeniem o taką nieośroć, ale jeśli po meczu w Gdyni można było być z czegoś niezadowolonym, to tylko z gry piłkarzy Bałtyku.

Tymczasem grupa chuligańskiej młodzieży zebranej na przystanku PKP Gdańsk — Orunia była wrogo nastawiona przeciw kibicom bydgoskiego klubu Zawisza. Piłkarze tego klubu wprawdzie też nie zwyciężyli i Bałtyk swoimi niemiejęciami sprawił im śliczny prezent w postaci awansu do I ligi, ale co temu wszystkiemu winni byli kibice Zawiszy? Gdańscy chuligani, żeby było śmieszniej, przystąpił do barwy gdańskiej Lechii, ale można to rozumieć jako przejaw lokalnego patriotyzmu całego Wybrzeża. Doszło do obrzucenia poglągu kamieniami. Interweniowała milicja i SOK, kilku chuliganów ujęto. Stanęli oni przed... kolegium, będą musieli posiadać w areście i zapłacić grzywny. Piszący o tym wydarzeniu zapytują zgodnie, dlaczego chuligani odpowiadali przed kolegium? Takie wybryki, które noszą cechy przestępstwa, powinny być karane jako przestępstwo przez sądy.

Sport wyzwala emocje, szczególnie, gdy mecz toczy się o wysokie stawki, jak np. o awans do I ligi. Na mecz chodzą ludzie różni, nie tylko świadomi kibice, nie tylko członkowie klubu kibica, nie tylko normalni ludzie, którzy chcą odpocząć od swoich kłopotów w atmosferze napięcia sportowego na stadionie. Przychodzą też chuligani, którzy wleżą drakę, rozróbą i możliwość zabawienia się kłosem spokojnych ludzi. Czy to jest wina sportu? Przecież ci ludzie uczą się na ogół „kultury” poza boiskiem sportowym, uczą się jej na marginesie życia. Atmosfera sportowego napięcia, jakie panuje na stadionie wyzwala w nich chamsstwo i poczucie bezkarności. I żadne tu pogadanki o potrzebie wychowywania kibiców niewiele pomogą.

Abym był spokojny po wyjściu ze stadionu, abym był spokojny przy wychodzeniu ze stadionu, potrzeba służby porządkowej i milicji. Proszę popatrzeć jak pograżane są stadiony piłkarskie w innych krajach. Ila tam policji. Czasami porządek można utrzymać tylko siłą. Bo rozchuliganiona młodzież w swojej istocie jest tchórzliwa i respekt ma tylko przed siłą. Wychowujemy więc kibica nadal, ale nie zapomnijmy o potrzebie utrzymywania porządku siłą. Nie ma się czego wstydić.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Rozdanie samowarów w Zielonej Górze jest nieomylnym znakiem, że Polska wkracza w okres festiwalu piosenek. Nie zliczę ich wszystkich gdyż obok tych wielkich, transmitowanych w części przez telewizję, odbywa się jeszcze kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt mniejszych i zupełnie małych poświęconych różnym grupom i podgrupom piosenek. A to piosence turystycznej, studenckiej, partyzanckiej, harcerskiej i tak dalej i tym podobnie. Ludzka pomysłowość jest niewyczerpana i każde miasto, niedługo już i każda wieś, zechcą mieć swój festiwal.

Po Zielonej Górze przyszedł czas na Opole, a to znaczy, że lato formalnie już się rozpoczęło i lud rusza nad morze, to nasze polskie, i nad inne morza Europy po słońce, powietrze i zdrowie, a przy okazji zabawy o Kolobrzeg, gdzie będzie wielkie śpiewanie o wojsku i o Sopocie, gdzie znowu rozbrzmiewać będą pieśni w różnych językach śpiewane. Lato się więc zaczęło i obok rozważań o wszelakich potworach i dziwach różnych, dyskutować się będzie też o piosence. Jaka jest i dlaczego?

Z Opola usłyszeliśmy piosenki dawne i nowe. Już w szkole mnie uczono, że nowe w konfrontacji ze starym zawsze musi zwyciężać. W Opolu było inaczej. W Opolu stare okazało się lepsze od nowego. Bardziej się podobało i to chyba nie dlatego, że budziło w nas wspomnienia i sentymenty. Widownia w Opolu była w większości młoda, gdzie jej tam do wspomnień i sentymentów.

Przy prezentacji piosenek „Studia Gama” znowu się okazało, że jury zna się na piosenkach a widownia je lubi. I tak nagrodę przyznano zupełnie nie tej piosence, która się wszystkim podobała. Przy ocenie piosenek premierowych jury jakby poszło na zgnyli kompromis i nagrodziło piosenkę śpiewaną

z muzyką, a jak coś nie wyjdzie? Telewizja dba o poprawność. Wszystkim podobal się kabaret poznańsko-wrocławski. I słusznie. Ale przy okazji nasunęła mi się pewna refleksja, a z rozmów, jakie prowadziłmsy następnego dnia, wiem, że nie tylko mnie nasunęła się taka refleksja. Tak na dobrą sprawę,

OPOLSKIE WIECZORY

przez Zdzisławę Sośnicką, aktualną w treści i formie o pożegnaniu lata, choć to dopiero jego początek. Ale, co się zaczyna, musi się skończyć.

O piosenkach będziemy jeszcze długo dyskutować. Fachowcy, specjaliści wysłannicy wrócą do domu, zasiąda do pisania i podzieli się z czytelnikami specjalnymi korespondencjami z Opola, wszystko dokładnie wyjaśnią, co trzeba skrytykują, a co trzeba pochwalać. My natomiast festiwal oglądaliśmy w telewizji jako widownia telewizyjna. Kiedy kończy się projekcja na ekranie mego telewizora ukazuje się szereg nazwisk ludzi, którzy chcieli się trudzić, nie za darmo zreszta, aby przyprawić mi odpowiednio to, co było w Opolu do przyprawienia. A skoro tak, to się zastanawiam, czy

to kabaret wrocławsko-poznański niczym się szczególnie nie wyróżniał, a przeciw przyjąłmsy go niemal jak objawienie. Dlaczego? Po prostu dlatego, że mamy w naszej telewizji wiele programów rozrywkowych, nie mamy natomiast rozrywkę. I wszystko, co bliższe jest humorowi, bawi nas i zachwyca.

Ja denerwowałem się trochę przed telewizorem, do czego się przynajmniej zaraz wyjawia powody tego zdenerwowania. Telewizja prezentuje mi festiwal opolski jako widownia telewizyjna. Kiedy kończy się projekcja na ekranie mego telewizora ukazuje się szereg nazwisk ludzi, którzy chcieli się trudzić, nie za darmo zreszta, aby przyprawić mi odpowiednio to, co było w Opolu do przyprawienia. A skoro tak, to się zastanawiam, czy

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Przed dwoma miesiącami „Polityka” opublikowała recenzję ze zbioru reportaży St. Kozickiego i Al. Rowińskiego i zatytułowała ją „Parada oszustów”. W pierwszym zdaniu czytamy: „Tytuł recenzji zapożyczyłem z dawno wyświetlanej u nas komedii francuskiej”. W toku zapożyczenia tytuł uległ jak widzimy deformacji, bo komedia nazywała się „Parada natrętów”, a natręt to nie to samo, co oszust.

Wariat to nie diabeł. W „Głosie Robotniczym” czytaliśmy sprawozdanie ze sztuki St. I. Witkiewicza, granej przez znany zespół „Teatru Stu Krzesieł” w Domu Kultury „Lokator” w całym sprawozdaniu ani razu nie podano poprawnie tytułu tej sztuki. Dla „Głosu” był to „Diabeł i zakonnica”. Również „Dziennik Popularny” zamieścił notkę o tymże teatrze, donosząc że „Wkrótce wystartuje z „Diabłem i zakonnica”. Tymczasem sztuka nazywa się „Wariat i zakonnica” i jest w niej mowa o wariacie, a nie ma ani słowa o diable. Czy sprawozdawcy wcale sztuki nie oglądali?

„Literatura” zawiadomiła czytelników w lutym br., że „wydawca nowojorski, Random House, opublikuje w marcu wybór wierszy Papieża w przekładzie poety i świetnego tłumacza z Londynu, Jerzego Peterkiewicza”.

„Jerzy Peterkiewicz” nazywa się naprawdę Jerzy Peterkiewicz i uchodził przed wojną za czołowego poeęte grupy skrajnie nacjonalistycznej; bardzo energicznie lansowany przez „Prosto z mostu”,

gdzie ukazywały się jego sążniste, a pełne krzepy poematy. To właśnie o nim wspomniął z właściwym sobie brakiem ceremonii Tuwim w „Kwiatach Polskich”:

PARADA USTEREK

Gdy arsenatów nie doglądał butawy legendary dziedzic, a dia mnie szubienicy żądał poeta polski Pierd-Pierkiewicz...

Pierkiewicz nie wrócił do kraju po wojnie i stał się poetą dwujęzycznym; publikuje także wiersze angielskie. Ale może oprócz niego jest jeszcze w Londynie drugi świetny poeta — Peterkiewicz? Przecież kto jak kto, ale „Literatura” powinna być o tym dobrze poinformowana, a nawet powinna dobrze informować czytelników.

Sasiad mój w „Odgłosach”, Widok, też już kiedyś podawał szereg „lapsusów, pomyłek i błędów”, zdarzających się środ-

Załącznik nr.

32(-)79

HASŁO NUMERU: Umywaj ręce i bez okazji

Tradycja ta wykształciła się za-raz po wojnie, w czasie nieoboro-ru fachowców w wielu dziedzi-nych usług. O ile mnie pamięć, młodego wówczas człowieka, nie myli, jej prekursorami, a zara-zem pionierami, byli pokojowi malarze.

Ludzie wracali do swych do-mów z przymusowych robót, wy-siedleńcy i przesiedleńcy obej-mowali na powrót we władanie swe dawne mieszkania. W rew-temu, co sądzi się o zamieszaniu do porządku okupacyjnych „go spodarzy” mieszkaniach — te były często zapuszczone i brudne, być może „gospodarze” czuli nie-trwałość władania cudzymi ścia-nami. Tak czy inaczej, ślany te wy-magały natychmiastowej inter-wencji malarzy, których „jak już się rzekło było niewieleu.

taniu kilku robót równocześnie i rozkładaniu ich w czasie i w przestrzeni. To „rozkładanie ro-bót” można także rozumieć do-słownie.

Wówczas miał kilka dobrych stron, oczywiście tylko dla jed-nej strony, tj. mistrzów pędza-ła.

TADEUSZ GIGIER
Z cyklu: Opowiadki współczesne

WZORZEC

Dawał niezłe zarządzenie finan-sowe, nawet to w postaci a con-ty, z którego notabene można było korzystać natychmiast, bo-wiem wójtowskiemu było sporo. Jak łatwo się domyślić, naszkico-wany tu system opierał się na tym że dany „mistrz pędzła” był równocześnie wszędzie i nigdzie, najpiękniej zaś w jakiejś przy-

tupełnej knajpce, których podów-czas nie brakowało, których Mi-ajęty lata, szczerze zyskiwał nowych zwolenników. Do tych, którzy go przejęli i udoskonalili, należał niektórzy budowlani, ich wielka zasługa polega na tym, że ów prywatny przecięt system

tw. wykonawców na budowę Uroczystość połączona z bankie-tem w czasie którego dyrektor przedsiębiorstwa wygłosił toast następujący:

— Kochani! Witam was po długiej nieobecności i życzę wam dobrego zdrowia! Czy w czasie tych paru tygodni, kiedy was tu nie było, nie nadzarpnęliście go sobie zbyt? Blagam was, uważajcie na siebie! Wielec prze-cież, że nasze przedsiębiorstwo, ba — nasz kraj potrzebuje do-brych fachowców! Jedzcie i pij-cie, czas trwania bankietu okre-slimy z grubsza na dwie go-dziny. Pragnęlibym bardzo, by-ście przynajmniej jeszcze przez dwie następne pozostali na tej budowie!

Niestety, bankiet przeciągnął się i budowlani zniknęli, nie arzystawiając do dalszych robót. Jak chodzą słuchy, podobne przy-jęcie czekało już ich na innej budowie.



Rys. Jan Zieliński

W sobotę, 30 czerwca, o godz. 12.15, do ob. Sian-sławy B. we wsi Gospo-darz przybył pracownik MPKG z Pabianic, aby wymienić butnię z gazem. Robił wrzenie rozstrze-szone i oszołomione zyciem i długo stał w drzwiach a w jego oczach malowała się prośba o wspomoczenie, po czym o-świadczył że zużyty butni nie ściągnie z podwyższe-nia, bo to nie należy do jego obowiązków. 32-letnia samotna wdowa 42-letnią butnię sama gazownik wy-pisał kwit, zainkasował pieniądze, rozmontowa-butnię, a potem nagle zenerwował się i oświadczył, że butnia jest bez metal-owego kaptura i on 'akiej nie weźmie, bo magazy-

TO I TAMTO

NIE WYJDE!
„Pewien piotrkowianin, odsadu-jący karę więzienia za złapanie się nad żoną, usiłuje ów pobyt prze-dłużyć, mimo iż termin wyroku się kończy” — donoszą „Kulisy”
Widocznie osłabi w więzieniu i boi się, że żona mu teraz odda.

SALDO
Pracownik zgierskiej poczty nie przekazał do PKO pełnej woty, jakiej dokonała na swą książecz-kę czytelnicka „Dziennik Popu-larny”. Posładaczkę książeczki wezwano do oddziału PKO w Zgierzu, gdzie... odpisano jej u-kradzione przez pocztowca 1000 zło-tych.

Saldo się zgodziło ale oszczędza-jąca — nie. Spór musiał być roz-strzygnięty aż przez Wojewódzki Oddział NBP w Łodzi, i tak do-brze, że nie zawędrował do Mini-sterstwa Finansów.

ZEPULI!
Nie umieli założyć anteny tele-wizyjnej pracownicy Zakładu Ra-dio-Telewizyjnego Oddziału „Technika” (przy ul. Wętkowskie-go 5), twierdząc, że programi od-bierać się nie da, bo telewizor stoi za blisko wleżowca. Klientka nie zmieniła mieszkania, ale wezwła

fachowców z Zakładu Usługowego WPHW (z ul. 23 Lipca), którym wieźowiec nie przeszkodził. Sukces konkurencji wenerił Łódzką Usługową Spółdzielnię Pracy, która przysłała do byłej klientki przed-stawiciela Biura Zarządu. Przed-stawiciel oświadczył, że w ramach rekompensaty ludzie z „Techniki” naprawią jej bezpłatnie telewizor.

TEGO U NAS NIE BYŁO
Dwie jugosłowiańskie drużyny piłki nożnej niższej klasy miały awansować do klasy wyższej. O tym, kto awansuje miała decy-dować różnica bramek. Która drużyna zdobędzie więcej bram-ek, ta awansuje. Każda z nich grała z Innym przeciwni-kiem, i co? I padł rekord świata. Jedna w ciągu 90 minut strzeliła 97 goli, druga... 134. Tego u nas jeszcze nie było. I chyba dobrze.

SZCZĘŚCIE W LIPCU
„Sztandar Młodych” opublikował „Horoskop na miesiąc lipiec” fir-mowany przez „Totalizator sporto-wo”. Chcąc dowiedzieć się, co nas czeka w lipcu, przeczytaliśmy cały horoskop. Okazuje się, że nie be-dzie tak źle gdyż każdy, obojętne czy urodził się pod Rakiem, Wod-nikiem, czy Baranem powinien zagrać w którąś z licznych form „Totalizatora sportowego”, a szcze-ście usmiechnie się do niego U-smiechnięcie to się może usmiechnie, ale czy przyniesie wygraną w to-raczej wspaniałej, do czego skłania nas rachunek prawdopodobieństwa.

Młodemu pokoleniu Czy-telników nazwisko Para-monow nie już nie mówi. Alieci przed laty grasował w Polsce głośny bandyta który mordował swoje o-fiary miotkiem. Sprawa była ówczesna, że o Para-monowie w środowisku przestępczym powstawały piosenki, a wielu moloj-ców chciało sobie także zasłużyć na sławę wisiel-ca. Bawiem Paramonow

NASTĘPCY PARAMONOWA?

Jak przystało na morderce skończył na szubienicy. Dlatego z niejaką trawna spotrzęciem, że Polska Komunikacja Samochodo-wa, przeważnie tylko nie-co mniej ganiony niż PKP, zaleca swoim pasażerom wozanie miotków. W oaw-dzie nie robi tego wprost ale umieszczono niemal w każdym autokarze tablicz-ki: **WYJŚCIE AWARYJNE! W RAZIE POZBYBY WYBIEC SZYBE MI OT-KIEM PROPAGUJA to pod-ręczne narzędzie jako nie-odłączny rekwizyt podróz-nego. Czyżby PKS takto wala wszystkich swoich podróżnych jako poten-cjalnych następców Para-monowa?**
J. DARNAL

GAZOWNIK

nier mu nie przyjmie. Na tłumaczenie, że od ośmi-ła pracownicy pozostawia-ją w domach butnie bez kapturów, i że użytkow-nicy i tak tracą na tym gazie ponieważ urządzenia nie posiadają zegara i nie wiadomo, kiedy gaz za-biśnie, a na nowy trzeba czekać dwa tygodnie ga-zownik położył kłos, za-czął się rzucać i plenić. Wyrwał Stanisław B. kwit, trzasnął na stół pie-niądze i porwał butnię z przywieszonym gazem, nie chcąc z kobietą rozmawiać. Na pytanie (podczas u-cieczki do samochodu), czy nie chce w przedsię-wzięciu pracować, od-rzekł że braca mu twisa. Po kilku krokach, na ko-lejne pytanie, do kogo w końcu przyjechał, odparł trzeźwo że do klienta. Przyciskany ostro, bur-knął, że nazywa się Rud-nicki, natomiast na zwró-cona uwagę, że na platfor-mie żuka znajdują się wie-le butni bez kapturów za-brakło mu cierpliwości i rzekł do starej kobiety, że-by go pocałowała w... i odjechał po kawalersku pozostawiając rozmontowa-ne urządzenie, z którego ulatniały się resztki gazu i przykry smak kultury gazownika. (RB).



ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

WESTCHNIENIE DO ZESZŁEGO LAT

Frytura gumna i stajni dmuchną nam w twarz swojej wierszy... Wielkie żubro-kombajny i mali koszyerzy kos ostrze w kat odstawił, barmanik kusząc zapłatą. Zaczęło się mol milii g-astronomiczne lato...
W gospodzie Pod Zmolką Wroną deszcz jest przeciekać najłatwiej. O miododajna porol Weź się uadekwatnij! Na trzeźwo spojrzij w kalendarz i połóż koniec swym zbytkom; Niech kwitnie w kwietniu Jarzebiak, a sierpień niech kosi żytnią.
Trzmiel nie przeleciał nad łąką i motyl z kwiatka na kwiatek... Dzień w dzień mżawka. Więc mokro... Istny plagiat z tym latem. Ten co za kochanek nie wlewa, a i abstynent dożonny zgodnym chórem objędzą poziom wody w Miedoni?
Nikie słoneczko zza chmurki, nie chce do wnętr naszych zeika... Kłina w sióbach ogórki. Ziota jesień! W butelkach! Trendów omota nas nitka, pułapki tęsknot zastawi; może otworzy full-piwko kluczem lejących żurawii?
Zagrajcie ostatnie tango z nami z rzygulców i ryleni spłyną niezym przez radio smętne strugi requiem dla tyby, która choć pła, to utonęła z tej ranej, że znieść już w stanie nie była takich smutnych wakacji!

ZŁAPANI NA LEPEX

27 czerwca br. zajrzeliśmy do pawilonu „Chem-ia” przy ul. Trautnitta niedaleko Dworca Faha-ycznego, aby nabyć tzw. leplex — środek „ory-ginalny” cywilizowany człowiek — mający w dodat-ku na co dzień styczność z biurkiem — powinen mieć zawsze w jego najbliższej, górnej szuflidzie. Co to jest leplex? Jest to po prostu klej, tyle że uformowany w zarabny waleczek i umieszczony w plastikowej oprawce, z której do woli moż-na go wysuwać, a po użyciu zamknąć z nowo-tem. Urządzenie to chroni klej przed wysycha-niem, a nas przed złapaniem na lep. Z wyjątku przypomina zaś pomadkę.
Sens działania leplexu polega na tym, że daje się on bez trudu wykrecać z obsadki. Co zrobić jednak, jeżeli kolejno kilkadziesiąt leplexów od-mawia — jakby się umówiło — posłusznie-twa? A taka właśnie rzecz przydarzyła się nam w pawilonie. Przez nasze ręce przeszła parę tużinów leplexów, lecz żaden nie nadawał się do-żytku. Chyba że przy zastosowaniu bardziej dra-tycznych środków, np. miotka.
Zapewne producent bubla: Zakład nr 9 w Bo-rowie, K. Wrocławia (filia warszawskiego ZGG) witalizuje się, iż nie ma możliwości kontrolo-wania każdego opuszczającego zakład wyrobu. Trudno zresztą sobie wyobrazić pracownika zaj-mującego się przez 8 godzin jedynie odkręcaniem i zakręcaniem leplexów! Ale kontrola co dzie-sią obowiązkiem producenta?
Tymczasem e a a partia leplexów, która trafi-ła jeszcze — jak się okazało — w zeszłym roku do pawilonu „Chemii” nie nadawała się do użyt-ku. A było tego paraset sztuk!
W tej sytuacji ciekawi nas nie tylko reakcja producenta, ale i stanowisko kierownictwa pawi-lonu. Na co czekają w „Chemii”? Na co liczą? Czy na to, może, że leplex sam się przeceni albo — jesz-cie lepiej — zapakuje i nada w paczce — z po-wrotem do producenta...?

FELIKS RAJCZAK AFORYZMY

Ja prawdopodobnie nie znajdę prawdy poza sobą.
Wśród wielkich ludzi mój cień się kurczy.
Ponoć łatwiej wejść do literatury, gdy ma się własnego sekretarza.
On nie ma nic do powiedzenia. Tylko mu o tym nie mówcie.
Pragnie takiej klepsydry, która by przetrwała do jego smartwychwstania.
I stało się! Dętwą mową uspięno wroga ideowego.

NOWA KSIĘGA PRZYSŁÓW POLSKICH

Niech świeci garnki lepia — zmienmy prawdy stare — rzeki garnarcz Jan posładzły garnarczke Barbarę
...dopóki się ucho nie zlamie... wyszeptal dzban pewnej damie
Co ma wisieć niech utonie Po cóż atrapa na mem tonie...?
Do druku podał prof. dr hab. St. A. Ventu

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI WIELKA PCHKA MINI POWIEŚĆ 01?



ODCINEK 11
Jak dzisiaj czegoś nie przykrę-ć, to stara weźmie się z nerw za sernik i znów dojdzie dwa kilo żywca — myślał intensywnie Puciek, starszy referent ban-kowości. U jego nóg rozbiła się butelka po „Monteverde”, rzu-ciona z któregoś balkonu, ale ani Puciek, ani siedzący obok Tor-peda, nawet nie drgneli.
— Najpierw się robi gang Fa-ktycznie — powórzył za Torpe-da. — A jak u obywatela z gan-gowością?

— Trzech mamy, pan będzieś czwarty. Gyzms, Kapizson, Tor-peda i magister Puciek.
— Tśśś! Tylko bez słubnych na-wzisk. Od dziś jestem dia was Ciupek. Sprytne, nie? Nikt nie zgadnie. „Magister” może natu-ralnie zostać, bez magistra nie ma kolektynu. I nie na gębel Dokumentacja! Jak przyjdzie kontrola...
— Pan myśli, że trafią?
— Taka kontrola z wyższego gan-gu zawsze trafia. Nie batusz-pan oczu. Jak przyjdzie i znaj-dzie dokumentację w porządku, to nie ma się czego bać. Od

wykniętych usterek nikomu pre-mil nie zdjeł. Co innego, jak się tramwaj spóźni. Listę zaboru i rób co chcesz. A najgorzej, kie-dy się papierek z papierkiem nie zgodzi. Inspektorom tak uszy chodzą! — zamachał rękami.
— No dobra. To od czego za-cznijmy? — nawracał do tematu Torpeda.
— Daliśmy temu facetowi pro-messe. Sto patyków już podaj. Musi mieć w domu ze trzyzeta, bo urguje o koncepcję.
— Proszę?
— Nie szkodzi. Terminy gonia.

Nie może być posłizgu, bo nikt mu franszysy nie da...
— Żeby nie wydal na byle co! — No, Złoży się teezke, krypt-tonim... Zaraz...
— Może „Skok”, co? Albo „Wielki skok”...
— Było w kinie. Ale na przy-kład „Pchla”. Też skacze, nie? A zawsze coś nowego. Nowosc też coś warta.
— Jasne. Na przykład ser pipetycki zamiast sera kłapsztye kiego. Jedno male „dip” — i warte dychę. Niech będzie dalszy ciąg nastąpi